Nr. 28. Lwów, Niedziela dnia 9. Lipca 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXVII.

Poszanowanie ojczystego języka.

„Polsko! pawiem narodów jesteś i papugą,“ zawołał z boleścią Słowacki, co pełen miłości swojego narodu goryczą słowa wypalał gangrenę jego narowów. Mijają lata, a z niemi nowe klęski huczały burzą, nowe napaści rozdzierają nas i szarpią, przecież nie otrzęślismy się z tej papuziej słabości popisywania się obcych mów szczebiotem. Dziś już nie poeta narodowy, nie autor Beniowskiego i Grobu Agamemnona cierpkie z pod serca podaje lekarstwo, ale wróg naszą własną ręką dotkliwy daje nam policzek. Burmistrz poznański p. Kobleis, w odpowiedzi na obronę języka naszego, z jaką w parlamencie berlińskim wystąpili posłowie nasi z zaboru pruskiego, rzuca narodowi polskiemu w oczy daty statystyczne, które dowodzą niestety, że bracia nasi pod rządem pruskim, sami dobrowolnie wyzuwają się z tego, co narodowi najdroższe — z mowy ojczystej!

Do magistratu poznańskiego wolno do dziś dnia wnosić podania wszelkie w języku polskim. Mimo, że miasto Poznań liczy 30.000 Polaków, a więc połowę całej swej ludności, na 13.228 podań, wpłynęło od lutego do połowy czerwca nie spełna 200 podań polskich. Rażący stosunek, poparty dowodami — wykazany przez nieprzyjaciela narodowości naszej, rumieniec wstydu wywołać musi na uczciwe czoło każdego Polaka, zwłaszcza że p. Kobleis w izbie wyższej parlamentu berlińskiego przemawiając, oskarża nas przed całą Europą o nieposzanowanie ojczystego języka.

Niedawny proces hr. Platera w Poznaniu, dostarcza nowego dowodu, jak sami poniewieramy godność naszą wobec wszystkich, byle okazać, że papuzią mamy zdolność przyswajania sobie przeróżnych języków. Gdy prezes trybunału wzywał świadków Polaków, aby po polsku składali zeznania swoje, dwóch tylko korzystało z przysługującego sobie prawa, a wszyscy inni posługiwali się niemieckim językiem. Czyż to nie lekceważenie już nie tylko ojczystej mowy, ale samego siebie?

Pyszałkowatość nasza śmiechem napełniała nieraz cudzoziemców, a pawie pióra próżności obrzucano nam często błotem, które walało herbowe tarcze naszych patrycjuszów. Głos burmistrza poznańskiego, z parlamentarnej trybuny pada plamą na sztandar nasz narodowy.

Podpisaliśmy adres do posłów z ziem polskich pod rządem pruskim zostających, dziękując im w adresie za obronę praw narodowych; mamy prawo zwrócić się dziś do rodaków z Wielkopolski i Prus królewskich z wezwaniem, aby nie dawali wrogom powodów do urągania, aby pamiętali, że lekceważenie języka ojczystego, jest lekceważeniem narodu, jest apostazją.

Z podobnem wezwaniem zwrócić nam się należy i w inną, bliższą nam stronę — do tych mianowicie rodaków, którymby z trybuny parlamentu wiedeńskiego mógł jaki Kobleis także statystyczną cyfrą wymierzyć policzek. Czyż to do poszanowania ojczystego języka należy, że wiedeńskie tak nam wrogie pisma, w tysiącach egzemplarzy rozchodzą się po kraju naszym, gdy własna, ojczysta prasa z braku dostatecznego poparcia stosownie rozwijać się nie może? Czyż to miłości ojczystej mowy dowodzi, że przeróżne ilustrowane pisma i żurnale niemieckie znajdują licznych u nas abonentów, gdy przecież własne mamy wydawnictwa, nieustępujące co do wartości niemieckim?

Czyż nie jest to oburzająco śmiesznem, że gniewamy się na Żydów, iż nie przyswajają sobie biegłości w języku polskim, a zawsze po niemiecku rozmawiamy z nimi i poczciwy hreczkosiej łamie sobie język, aby łataną niemczyzną imponować Berkowi?

Obok rozlicznych, mniejszej i większej wagi objawów tego rodzaju lekkomyślności i ten jeszcze notujemy, że w sądach tutejszych na 100 zaskarżonych weksli, zaledwie jeden znajduje się wystawiony po polsku. Gdy obecnie zaprowadzono rządowe blankiety wekslowe, zapytywano o opinję, ileby polskich egzemplarzy dla Lwowa przysłać należało. Odpowiedziano ztąd, że polskie zupełnie są zbyteczne, gdyż nikt ich nigdy nie żąda. Domagaliśmy się języka polskiego w szkole i urzędzie — a sami posługujemy się niemieckim językiem tam nawet, gdzie od nas wybór języka zależy.

Mamy we Lwowie gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim — dla Niemców zapewne i dla synów wojskowych przeróżnych narodowości, którzy przerzucani z prowincji jednej do drugiej, zmuszeni są niemiecki język obrać za wykładowy dla swoich dzieci. Niedziw, że Niemiec lub Węgier, Czech, Chorwat itd. posyła syna do szkoły nie polskiej, ale wstyd, gdy czyni to Polak. A niestety nader znaczna liczba dzieci polskich tumanieje w tej niemieckiej szkole, by kosztem prawdziwego wykształcenia, które jedynie w ojczystym języku jest możliwe, nabyć papuziej biegłości w niemczyźnie.

Znajomość języków obcych, jest niezbędnie potrzebną każdemu, a tem więcej nam, którzy odarci jesteśmy z politycznej samodzielności. Tak pochopni do naśladowania cudzoziemców, naśladujmyż Anglików, Francuzów i Niemców w poszanowaniu języka ojczystego. W Niemczech zwłaszcza, poliglotyzm tak jest rozpowszechniony, że nie ma tam człowieka z jakiem takiem wykształceniem, którýby nie władał biegle francuskim i angielskim językiem. Kupcy, przemysłowcy, nawet portjerzy, lokaje i garderobiane mówią biegle po francusku i angielsku, lecz nikomu tam jeszcze na myśl nie przyszło, uważać francuzczyznę za cechę dystynkcji i przedmiot popisu. Nikomu tam na myśl nie przyszło we własnym kraju zapierać się języka swojego lekkomyślnie. Nie słyszano jeszcze, aby Niemcy ze sobą obcym rozmawiali językiem. Żaden ojciec nie oddałby dziecka do francuskiej szkoły, chociaż stara się o to, aby mu język francuski przyswoić.

To papuzie popisywanie się cudzym językiem, jest właściwością narodów niedojrzałych, jest znamieniem braku inteligencji i dziecińctwa. Czyż wiecznie będziemy małoletni w rodzinie europejskich narodów? czyż potrzeba nam takich lekcji, jak mowa Kobleisa? Obojętność ze strony

inteligencji, ze strony prasy na takie postępowanie, objawiałaby apatję — apatja zaś to choroba, to osłabienie nerwów, to rozprzężenie sił organicznych. Czyż nam na prawdę brak sił żywotnych i zdrowia? Nie — do tego przyznać się nie możemy, więc do głosu Słowackiego: „Polsko! pawiem narodów jesteś i papugą“ — wplećmy wyraz silnego postanowienia, że zniknie u nas papuzia szczebiotliwość, a w całej pełni zakwitnie poszanowanie ojczystego języka, na każdym kroku, w każdej czynności, we wszystkich życia stosunkach.

Szanujmy sami siebie, a będziemy szanowani!

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XIII

— Z radości i ze szczęścia, bo czytam w oczach twoich, że mi przebaczasz, że nie masz do mnie urazy dziecko moje.

— Przebaczam... ależ co dziaduniu?... nie mam urazy... jabym mogła mieć urazę?... o co?...

— Żem tak dziwnie, tak nierozsądnie może rozporządził twoim majątkiem Kostusiu...

— Moim majątkiem?... majątek był twój, dziaduniu... a to coś mi dał w zamian wszystkie skarby świata zapłaci..

— Myślałem, widzisz...

Rotmistrz chciał coś mówić, ale machnął ręką i urwał.

— Nie czas podobno jeszcze wspominać o tem — rzekł — może zresztą pani szambelanowa nie dobrze zrozumiała pana Artura.

Aby rozprószyć smutne myśli dziadka, Konstancja przyniosła mu na kolana prawnuka...

Po niejakim czasie przyszedł pan Bartłomiej z ojcem Fulgencjuszem i opowiedzieli rotmistrzowi i Konstancji całą rozmowę jaką mieli z eks kamerjunkrem. Teraz nie było już wątpliwości co do istotnych intencyj panów Szóstackich.

— Stało się! — rzekł smutnie rotmistrz, a pan Bartłomiej zaczął się srożyć, i odgrażać na niegodziwych przywłaszczycieli ostatniego mienia tułaczów.

Rotmistrz mu przerwał.

— Stało się! — powtórzył — panie Bartłomieju, nie mam do was żalu, żeście postąpili jak gorączka, ale upamiętajcie się teraz i żadnego szaleństwa więcej!...

— Przecież, panie rotmistrzu, takiej fortuny w rękach tych drapieżnych sępów pozostawiać nie można... czy siak czy tak, panie bratku, ja im ją wydrę z gardła...

— Daj pokój!... a przytem... zkąd ty wiesz, panie Bartłomieju, że Bóg ją pozostawi w ich ręku?... zkąd wiesz czy sierotom i tułaczom nie nagrodzi czem innem tego co im przemoc i niegodziwość wydziera?... Jeśli są winni zostawmy ich ukaranie Temu, który jeden ma w ręku prawo kary na pewne zbrodnie, jeśli jest krzywda, zostawmy jej wynagrodzenie Temu, który jeden ma nieprzebrany skarbiec na nagrodzenie pewnych krzywd... Sami ufajmy w Bogu i czekajmy z pokorą jego wyroków.

— Amen! — dodał kapucyn — święte są twe słowa panie rotmistrzu.

Zahajpolski musiał umilknąć i umilknął, ale widocznie nie był zadowolony z tej rezygnacji starca i kapłana. Oburzała go przewrotność marszałka i jego syna. Szarpał się za wąsy, mruczał coś pod nosem i był zły.

XV.

Wkrótce potem, jak przepowiedział rotmistrz, otworzyły się drzwi i ukazała się ciocia Giefia z powrotem.

— Wracam — rzekła wchodząc — wracam bo cóż mam począć?... nie wiem gdzie się obrócić w tem niemieckiem mieście, gdzie nikt po polsku ani po francusku nie umie... *ferszte kaj Wort, weisse Bär.*

— Więc ciocia wybacza memu mężowi jego socjalne stanowisko? — zagadnęła z uśmiechem Konstancja.

— Wybaczyć mu to... nigdy!... któż widział, żeby mąż Szóstackiej był jakimś tam robotnikiem i wysługiwał się Niemcom za kawałek chleba... *ferszte kaj Wort,* nie wybaczam.. Ale myślę sobie tak... ty Kostuniu jesteś jeszcze dziecko, więc nie rozumiesz ani świata ani małżeństwa... nie wiesz że mąż dla żony wszystko zrobić powinien, nie wiesz czem można być na świecie, a czem nie można, jeżeli się człowiek szanuje. Tobie się nie dziwię... nie masz tego doświadczenia jakie ja mam, ale zaapeluję do niego. Powiem mu, że jako człowiek rozsądny powinien przecież zrozumieć. że póki mnie będzie miał przy sobie nie wypada mu być robotnikiem. On to zrozumie i poszuka sobie innego zajęcia...

— Tak ciocia myśli? — rzekła z naturalnem niedowierzaniem Konstancja.

— Jestem tego pewną, a zresztą *ferszte kaj Wort...* nie będzie chciał, to nie, spróbować nie zawadzi...

Stanisław dłużej tego dnia niż zwykle zabawił w mieście. Nie trafiało mu się to nigdy; Konstancja już zaczynała się niepokoić, czy nie zaszedł jakiś prrzypadek, a ciocia Giefia już się niecierpliwiła niepewnością czy jej instancja będzie miała pomyślny rezultat, gdy nareszcie znajome kroki dały się słyszeć na schodach i wnuczka rotmistrza pobiegła uszczęśliwiona ku drzwiom, aby powitać powracającego męża.

Wszedł on do pokoju z wyrazem niezwykłego zadowolenia i radości, uszlachetniającym jeszcze bardziej jego męskie rysy. Miał zdaje się zamiar opowiadać żonie co tę radość i zadowolenie spowodowało, ale spostrzegłszy liczniejsze zebranie i niespodziewanych gości, odłożył rzecz na później i zaczął się witać z obecnymi, rozpoczynając naturalnie od szambelanowej.

Ciocia Giefia zrobiła dyg piękny, prawdziwie panieński, przybrała minkę prawie zalotną, a w każdym razie bardzo salonową i z uśmiechem najpiękniejszym, najbardziej europejskim rzekła:

— *Ferszte kaj Wort,* panie Stanisławie mam do pana prośbę maleńką...

— Owszem pani szambelanowo — odrzekł uprzedzająco mąż Konstancji — będę się starał spełnić życzenie pani, o ile będzie w mojej mocy, ale nim się dowiem o jego treści, niech mi wolno będzie prosić, o co już zapewne Kostusia w swojem i w mojem imieniu prosiła, to jest żebyś pani dopóki zechcesz albo będziesz musiała zabawić w Dreznie, podzieliła nasz skromny kawałek chleba...

— Ależ to się rozumie, — przerwała najnaturalniej w świecie ciocia — gdzieżbym się podziała, gdyby mi nie stało was?... zostanę, już powiedziałam Kostuni że zostanę, ale pod warunkiem, który właśnie jest moją prośbą...

— Słucham panią.

— Zostanę jeżeli pan Stanisław zechce dać mi...

Ciocia Giefia zarumieniła się, zawahała, spuściła oczy, słowem stała się nieśmiałą jak ośmnastoletnia panienka, aż te jej rumieńce i krygowania się inną myśl Stanisławowi nasunęły.

— Zgaduję — rzekł śmiejąc się — ależ to rzecz naturalna, że będziesz pani miała osobny pokój...

— Ależ nie o to mi idzie, ja chciałam pana prosić, żebyś mi dał słowo, ze...

— Że co pani?...

— Że porzucisz to obrzydliwe swoje rzemiosło — rzekła szambelanowa szybko i otwarcie, zdobywszy się wreszcie na odwagę i odrzuciwszy na bok wstyd dziewiczy — pod tym tylko jednym warunkiem zostanę... inaczej *ferszte kaj Wort..*

Wszystkich oczy zwróciły się na Stanisława oczekując jego odpowiedzi, choć ta prawie wątpliwą być nie mogła.

Stanisław z najlepszą w świecie miną, wesoły i swobodny, robiąc oczyma jakiś znak porozumienia żonie, którego jednak Konstancja zrozumieć nie mogła, odpowiedział, w sposób wbrew wszelkim oczekiwaniom przeciwny.

— Szczęśliwy jestem, że mogę zadość uczynić pani szambelanowej, chociaż co do jego słuszności możebyśmy się z sobą pospierali.

— Oh! nie spierajmy się, nie spierajmy... nie chcę o niczem słyszeć, *ferszte kaj Wort...* więc dajesz mi pan słowo, że nie będziesz robotnikiem?...

— Już nie jestem!

— A co nie mówiłam, Kostuniu — zawołała szambelanowa klaszcząc w ręce — że on sam czuje, jak to dla niego niestosowne.

— O! przepraszam, pani szambelanowo, nie uważałem tego zajęcia za niestosowne dla mnie ale... może mnie uznano za niestosownego do tego zajęcia...

— *Mais c'est la même chose!*

— Nie zdaje mi się... Wypędzono mnie z fabryki!

— Ah! — zawołała Konstancja i chciała coś mówić dalej, ale Stanisław spojrzał na nią tak uspokajająco, że ją wszelka obawa opuściła.

— Wypędzono pana!... co za szczęście! — zawołała ciocia Giefia.

— Będę musiał się utrzymywać z pióra.

— Z pióra!... co za szczęście!... pióro to zawsze szlachetniejsze niż rzemiosło!

— Będę zarabiał trzy do czterech talarów tygodniowo, jako kopista...

— Co za szczęście!

— Będziemy mieli przecież zawsze jaki taki kawałek chleba i ziemniaki w mundurach do niego..,

— Co za szczęście! — zawołała jeszcze szambelanowa.

Ale spostrzegła się niebawem, że kartofel w swym naturalnym uniformie nie jest tak wielkiego szczęścia wyrazem, i dodała z obrzydzeniem:

— W mundurach!... a pfe!.,.

— Jeżeli pani szambelanowa nie lubi, można je będzie obrać z mundurów...

— To co innego!...

— Pani szambelanowa z Kostunią — mówił dalej śmiejąc się Stanisław, będą zajmowały się naprzemian jedna kuchnią, druga dzieckiem i porządkiem... która zechce jeść ziemniaki bez mundurów, to je sama dla siebie i dla wszystkich oskrobie.

— Gotować, piastować, zamiatać, skrobać kartofle! ależ to okropność! — jęknęła pani Wieluńska.

— Ha! cóż robić, wszystkiego tego nie byłoby gdyby mnie nie wypędzono z fabryki...

— To prawda!... — potwierdziła ciocia Giefia.

— Tam miałem piętnaście talarów tygodniowo... szkoda!

— Oh! szkoda!... nieszczęście prawdziwe!...

— Więc pani szambelanowa powiada, że to nieszczęście, że mnie wypędzono z fabryki?

— Powiadam, że nieszczęście.., jakto?... ja powiadam że to nieszczęście?... — załamała ręce pani Wieluńska — eh! doprawdy w tem niemieckiem mieście, ja już sama nie wiem co powiadam, a czego nie powiadam *fersztę kaj Wort, weisse Bär!*

— No... kiedy tak, to mogę panią szambelanowę i Kostunię pocieszyć... nie wypędzono mnie z fabryki.

— Co za szczęście! — klasnęła w dłonie szambelanowa.

— Nie będziemy jedli ziemniaków w mundurach, będziemy mieli byt dostatni.

— Co za szczęście!

— Domyślałam się, żeś żartował — wtrąciła Konstancja.

— O przepraszam, nie wszystko żartowałem — odrzekł wesoło Stanisław — teraz na ciebie moja droga pani kolej zdziwienia...

— Nie domyślam się czemu bym się dziwić mogła... pozostajesz nadal robotnikiem...

— Nie pozostaję...

— Czemże więc będziesz?...

— Jestem współwłaścicielem fabryki, w której jako robotnik pracowałem do dziś rana...

— Ależ to niepodobna!... mówiłeś że fabryka warta sto tysięcy talarów.

— Mniej więcej... to znaczy, że moja jej część warta połowę tego.

— Jakże to się stało mój mężu?..

— Wygrałeś pan na loterji saskiej — krzyknęła ciocia Giefia — pewno na numer 11,111, bo mnie się jeszcze w Zaskalu śnił ten numer, i zapisałam go sobie, żeby kupić zaraz jak tu przyjadę... musi to być numer szczęśliwy, bo się śnił i ma same jedynki... na nieszczęście nie miałam już pieniędzy, a choćbym miała to niewiedziałabym jak się dogadać.

— Rzeczywiście wygrałem... ale nie na ten numer.

— Na któryż?...

— Na żaden... nigdym jeszcze na żadną loterję nie stawiał.

— Więc jakże pan mogłeś wygrać?

— Poszczęściło mi się... Dziś rano podczas roboty przyszedł do mnie właściel fabryki i zaczął ze mną rozmawiać. Pamiętasz Konstancjo, że w Gradowcach jeszcze myślałem nad pewnym wynalazkiem, którego pierwsze próby wiodły mi się dość szczęśliwie i szło już tylko o to, żeby wynaleziony zrobić mniej kosztownym i łatwiejszym. Okazało się z rozmowy, że nad tem samem myślał mój pryncypał. Zakomunikowaliśmy sobie wzajem nasze myśli. Okazało się, że on szedł inną drogą, a ja inną, ale gdyśmy skombinowali nasze myśli, spostrzegliśmy obaj, że tylko tyle do ich uzupełnienia było potrzeba, żebyśmy się zwierzyli jeden przed drugim. On miał to czego mnie brakowało, ja miałem to, czego w jego sposobie brak było. Jednem słowem myśl stała się rzeczywistością, projekt czynem. Zrobiliśmy zaraz próbę, udała się. Jesteśmy właścicielami nowego sposobu wyprawiania skór na wytworne roboty, tańszego znacznie od wszystkich znanych, dającego skórę miększą, elastyczniejszą, trwalszą. Sposób taki to majątek, bo prawo własność wynalazków na czas pewien na rzecz wynalazców zastrzega. Pryncypał mój zapalił się i chciał odemnie zaraz odkupić moją połowę tej własności. Wyznaję że nie potrafiłem oznaczyć ceny. Wtedy zaproponował żebym został jego wspólnikiem i żebyśmy razem eksploatowali wynalazek. Odparłem, że nie mam pieniędzy, on rzucił myśl że mi odda połowę swej fabryki na własność, szacunek jej z przyszłych zysków odbierze, a cobyśmy zyskali więcej tem się naturalnie dzielić będziemy. Układ był zbyt dobrym żeby go nie przyjąć... przystałem... poczciwy Niemiec nie puścił mnie, póki nie poszedłem z nim do notarjusza, gdzie spisaliśmy kontrakt, i oto z robotnika zostałem odrazu właścicielem.

— *Fersztę kaj Wort!...* ależ to jak w *Tysiąca nocy!...* — zawołała szambelanowa.

A stary rotmistrz powstał z krzesła, z którego przysłuchiwał się rozmowie całej i opowiadaniu Stanisława, i rzekł:

— To Bóg wam zapłacił za Zaskale, dzieci moje!

Kolej zdziwienia przyszła na Stanisława, który dopiero teraz miał się dowiedzieć o niegodnem postępowaniu panów Szóstackich.

Że po utracie Zaskala wielkiego łamania rąk nie było, nietrudno się czytelnikowi domyśleć.

Stanisław uznał także jak rotmistrz, że do czasu aż przyjdzie pora wymiaru sprawiedliwości i panowania prawa na polskiej ziemi, o odzyskanie Zaskala albo jego wartości żadnych kroków czynić nie można, gdyż toby pociągnęło za sobą zabranie wioski przez rząd, a lepiej w każdym razie żeby ziemia pozostała w rękach polskich, choćby nawet takich jak ręce pana marszałka i jego godnego syna, bo z nich przejść kiedyś może w ręce zacniejsze, niż w ręce wrogów którzyby z niej utworzyli donację dla jakiego jenerała i nowe ognisko moskwityzmu na ziemi polskiej.

— To była właśnie moja myśl, kiedym Zaskale oddawał Szóstackim — zawołał słysząc te słowa rotmistrz — gdyby z tej walki, którąśmy przebyli, nasza strona wyjść miała zwycięsko, nie byłoby obawy o zwrot fideikomisu, panowie Szóstaccy oddaćby go musieli, a sądzę nawet, że oddaliby go bez przymuszania. Lecz jestem człowiek stary i wiele już ruchawek widziałem, wolno mi więc było przypuszczać, że zostaniemy jeszcze raz pokonani. W takim wypadku gdybym był Zaskale powierzył rękom prawnym i czystym, jestem pewny że rząd wydarłby je z nich, gdyż pozorny właściciel zapewne samby się także nie utrzymał tak ostrożnie, żeby się rządowi nie narazić; u takich jak Szóstaccy ziemia zostanie... a czyja później będzie, to w boskich rękach!...

Po tej rozmowie rodzina tułacza zgodziła się, żeby zdać wszystko na wolę bożą i żeby o odzyskaniu Zaskala mowy już w jej gronie nie było.

Nie wszystko jednak tak dziać się może jak ludzie proponują. W kilkanaście dni po tych wypadkach miała być znowu mowa o odzyskaniu Zaskala.

XVI.

Pewnego dnia, kiedy Stanisław był w fabryce, szambelanowa *fersztę kaj Wort* przechadzała się po Grossgartenie, tylko rotmistrz z Konstancją byli w domu, zapukano do drzwi i na zaproszenie do wejścia, ukazała się najprzód łysina, potem jezusowa minka, a potem cała maleńka i pochylona postać i wymówiła słowa chrześcijańskiego pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdyby nie ta łysina, gdyby nie ta minka jezuska, gdyby nie te słowa polskie, każdy kto znał Fritza Hahna przysiągłby, że to Fritz Hahn; było to jednak zapewne przypadkowe tylko podobieństwo, gdyż Fritz Hahn nosił perukę, miał inną minę, i z wyjątkiem chwil szczególnej łaski Ducha św. nie rozumiał i nie mówił ani słowa po polsku.

Przybyły ukłonił się grzecznie i stał w milczeniu niedaleko progu.

Konstancja wpatrywała się w niego bacznie, twarz zdawała się jej znajomą, nie była jednak pewną czy go sobie przypomina dobrze.

— Pani mnie poznaje? – rzekł przybyły.

Zapytanie i głos dokonały reszty, utwierdziły domysł Konstancji i przed jej oczyma żywo stanęła scena, która się odbyła w jej

mieszkaniu w nocy wybuchu powstania w Gradowcach.

— Pan Rafał Fajski! — zawołała instynktownie zbliżając się do dziadka, bo ją widok tego człowieka mimowolną obawą przejmował.

— Ja jestem — odrzekł gość — i jeżeli mi państwo pozwolą spocząć, powiem zaraz po co przybyłem.

Konstancja wskazała mu krzesło.

— Przybyłem umyślnie z Podola do Drezna — rzekł Fajski — ażeby państwu spłacić dług, jak każe Chrystus Pan nasz Zbawiciel.

— Nam?... dług?.. ależ pan nam nic nie winieneś...

— Dług wdzięczności...

— Sądzę że nawet i wdzięczności nie winieneś nam pan... za co?

— Darowaliście mi życie, które było w waszych ręku..

— O ile sobie przypominam — odrzekła Konstancja — to nie my, a raczej nie mój mąż... ale dowódca Klin życie panu darował, uznając, że nie było dowodów winy...

— To prawda pani, ale ten już przed sądem bożym... Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci... Za to co on dla mnie uczynił Bóg mu już płaci, a ja codziennie modlę się za jego duszę... Dług wdzięczności, którego jemu spłacić nie mogę, chcę spłacić wam, tobie pani i twojemu mężowi, którzyście byli przy tem zajściu obecni.., tak kazał Chrystus Pan nasz Zbawiciel, którego imię niech będzie pochwalone na wieki wieków...

— Delikatność pańska każe mu płacić długi, które nie są długami — odpowiedziała Konstancja — nie jesteś pan względem nas obowiązany do niczego.

— To rzecz mego sumienia, a ono mi mówi, żem grzeszny człowiek i dłużnik wasz, więc pozwólcie że za dobre dobrem wam odpłacę... Zgadzasz się pani?

— O ile się to zgadzać będzie ze słusznością i z godnością naszą, o tyle tylko i ja i mój mąż zgodzić się możemy.

— Oh! grzeszyłbym ciężko gdybym pomyślał coś takiego co się nie zgadza ze słusznością i z godnością mych dobroczyńców...

— Nie posądzałam pana o to... mów pan...

— Czy pozwoli pani, że pytać będę?..

— Pytaj pan...

— Wszak prawda pani, że ludzie niegodni i grzeszni... nie pomni na Pana i Zbawiciela, który nas odkupił... przywłaszczyli sobie niesprawiedliwie majętność waszą Zaskale?

— Nie panie... dziadek mój oddał im ten majątek dobrowolnie.

— Czy sprzedał?

— Nie, lecz oddał prawnie, w sposób najformalniejszy

— Za zapłatą?

— W takim razie byłaby sprzedaż... był to akt prawny innego rodzaju..

— Rozumiem... fideikomis.

— Może, ale do czegoż prowadzi ta rozmowa?

Rafał Fajski powstał, podniósł prawą rękę z wyciągniętemi dwoma palcami do góry, i wyprostowawszy się tak, że się znacznie wyższym wydawał niż był zazwyczaj, rzekł uroczyście:

— Przysięgam na rany Tego, który za nas umarł na krzyżu, a którego imienia niegodne są wymówić usta moje, że ja dla was ten majątek odzyskam! .·. (C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas Francuski

przez

J. S. Chamca.

II.

GEORGE SAND.

(Ciąg dalszy.)

Przebiegamy myślą wszystko, co stworzył talent Georges Sand, i nie widzimy ani jednej zupełnie harmonijnej kreacji, ani jednej symfonji zupełnie strojnej i utrzymującej natchnienie na jednej i tejże samej wysokości. Początek tej powieści mistrzowski, lecz koniec mu nie odpowiada. Intryga tej świetnie przeprowadzona, ale równocześnie przeprowadzona kosztem niektórych charakterów zanadto wymuszonych i nienaturalnych. W tamtej znowu, analiza charakterów nie zostawia nic do życzenia, lecz fikcja wlecze się jak po grudzie i czasem nawet utyka na zupełnych nudów mieliźnie. Ot obraz z natury wspaniały. Najwięksi mistrze podpisali by go radzi, cóż gdy ujęty w szare ramy nudnych, metafizycznych dysertacyj, które gdzieindziej uszłyby bezwątpienia, ale których do powieści ani przypiąć, ani przyłatać. I tak wszędzie. Rzekłbyś, że jakaś wróżka rozgniewana asystuje przy narodzinach wszystkich umysłowych dzieci Georges Sand, i każdemu z nich do kołyski jakiś mniejszy lub większy cisnąć musi niedostatek.

Pełno dzieł pięknych — nie masz atoli żadnego arcydzieła. Są rzeczy lepsze i gorsze, nie masz najlepszych. Bez liku szkiców mistrza zapowiadających, ani jednego obrazu grupującego wszystkie jego zalety.

Tak dalece jest to prawdą, że chcąc, jak według naszego zwyczaju, ogólnikowy sąd powyższy poprzeć rozbiorem szczegółowym najudatniejszego dzieła, w wielkim jesteśmy kłopocie, któremu najsłuszniej to wybitne przypisać stanowisko. Wspomniany już „Człowiek ze śniegu“ na tle świetnie zrozumianej i artystycznie oddanej natury, przedstawia nam nie ludzi, lecz istne marjonetki, ruszające się jak autorowi dogodniej. Rozgłośne niegdyś dzieła młodości Georges Sand: „Lélia,“ „Valentine,“ „Indiana,“ w których proces wydała społeczeństwu za to, że kobiet nie emancypuje, dużo wymownych mieszczą w sobie ustępów, dużo kartek perłami pisanych, ale w sumie na tak bezsensownych spoczywają fundamentach, do tak ckliwo nudnej nieskończoności rozwałkowują idee buntownicze przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, że ani myśleć o szczegółowej ich analizie, ponieważ nie przystając do wąskich rozmiarów niniejszej gawędy, musiałyby czytelników do przedwczesnej usposobić drzemki.

„Młynarz z Angibault“ i „Grzech pana Antoniego“ dwie ładne, pełne życia i ruchu powieści, uderzające głębokiem wystudjowaniem charakterów, jako na fałszywych zbudowane podstawach, i marzenia socjalistyczne posuwające do ostatecznych utopij, również nie godzą się do powyższego użytku.

„La mare au diable“ (Djabelska kałuża) „François le champi“ (Franciszek podrzutek) i „La petite Fadette“ próby romansów sielankowych, dźwięczne formą jak mało co pod słońcem, względem natury a prawdy w tymże stoją stosunku, co figurki z sewrskiej porcelany, albo jak owe modne w końcu ubiegłego stulecia „Sceny Pasterskie“ zaludniające łąki i bory tłumem miniaturkowych Amaryllis i Tyrsisów.

I tak dalej. Jakeśmy rzekli wyżej, w każdym z kolei utworze, lśniącym zkąd inąd talentem, oko badacza bez wielkiego wpatrywania się nawet musi natrafić na jakiś podarek owej wróżki rozgniewanej, na jakąś plamkę lub plamę, niwecącą harmonijną całość obrazu.

O teatrze i mowy być nie może. Żywioł to zupełnie wstrętny talentowi, o którym mówimy. Utykając w powieści czasami, lecz za to do niesłychanych piękna wznosząc się szczytów, w dramacie talent Georges Sand kuleje zupełnie, kuleje na dobre, i nigdy przenigdy nie przekracza granic miernoty. Z wyjątkiem jednego „Margrabiego de Villemer“ ułożenie którego kronika pokątna przypisuje Dumas'owi, z wyjątkiem tylko tego utworu, reszta, a jest ich 20 sztuk z górą, to pakunek pierwszego lepszego pismaka nie zasługujący na dłuższe wspomnienie.

Rzecz naturalniejsza, niżby się to na pozór zdawać mogło. Teatr to akcja, to życie. Nie znosi refleksji, nie potrzebuje długich wywodów, bez opisów obchodzi się doskonale. Przysłuchajcie się bohaterom, ot choćby tego tyle już razy cytowanego Dumas'a. Żaden z nich nie czuje się w obowiązku spowiadania przed widzem stanu swego serca i umysłu, w długich a kwiecistych monologach. Po co? Na co? Stan ten wyrażony w razie potrzeby kilką słowy, a nawet czasem jednosylabowym wykrzyknikiem, wypłynie na wierzch jak oliwa, a objawi się cały w czynach bohatera i w ścieraniu się jego z innemi postaciami. Warunek to *sine qua non* powodzenia na scenie, zwłaszcza na scenie dzisiejszej, wyzwolonej z formułek klasycyzmu, i absolutną imitację życia przyjmującej za prawo fundamentalne.

Otóż jakże chcecie, by talent Georges Sand w wręcz przeciwnym błyszczący kierunku, odpowiedział mu dokładnie? Myśl jej lubująca się w drobnostkowych poszukiwaniach, w rzeźbach delikatnych, w miniaturkowych wykończeniach każdej rzeczy: pejzażu, wnętrza, portretu, nie zdoła się nałamać do malowidła dekoracyjnego, do którego sztukę sceniczną, bardziej dbającą o całość niż o szczegóły, możnaby śmiało przyrównać.

Literatura dramatyczna i literatura opisowa, to dwa przeciwległe sobie bieguny, to czyn i kontemplacja, to wzburzony, pieniący się potok, i ciche jezioro odbijające przedmioty zewnętrzne. Nie wielu, bardzo nie wielu mistrzom udało się jednocześnie jak w jednym tak i w drugim celować rodzaju. Georges Sand do nich nie należy. Nie znajdując więc arcydzieła, całość którego na szczegółową zasługiwałaby analizę, postanowiliśmy pewną liczbę wyjątków z zacytowanych już i innych utworów naszej bohaterki przed czytelników postawić oczy. Zanim to jednak uczynimy, wprzódy z jej biografją rozprawić się należy; z biografją, o którą dotąd potrąciliśmy tylko słowami nawiasowemi. Dotknąć tej nie sposób, nie zawadzając o wspomnianą wyżej lek-

kość charakteru, o miłośne stosunki grające w niej rolę tak ważną i wpływową.

Nie robimy odkryć. Mówimy o rzeczy nikomu nie tajnej, wszystkim dobrze znanej. Talent przytem ma swe przywileje. Pomni na zawdzięczane mu słodycze, bądźmy dlań względnemi, i powiedzmy sobie z góry, że to co w zwykłej śmiertelniczce byłoby godnem potępienia, to samo u Georges Sand wywołuje przypuszczenie pewnych *circonstances atténuantes* jak mówią Francu zi. A teraz do rzeczy.

Urodzona w 1804 r. w Paryżu, bohaterka nasza do 13go roku życia wychowaną była przez swoją babkę po ojcu, panią Dupin de Francueil, w zamku Nohant koło La Châtre. Wspomniane już gdzieindziej „Pamiętniki,“ przedstawiają nam tę babkę jako staruszkę sztywną, surową, pełną przesądów ubiegłego stulecia i według nich kierującą wychowaniem swojej wnuczki. Kto wie, ażali naturalna reakcja przeciwko tym pierwszym wpływom wstrętnym dla natury naszej bohaterki, nie popchnęła jej potem za daleko w stronę przeciwną, bo aż do socjalizmu. Tak bywa najczęściej. W każdym razie widzimy ją, jak dzieckiem jeszcze, korzysta z każdej sposobności, by uciec z chłodnego i nudnego salonu, do zabronionej a ciepłej i wesołej izby kuchennej, i by tam, w służebnych gronie, słuchać wieczorem przy kominie „skazek“ czarownych, opowiadanych przez stare wieśniaczki.

Z owych lat, z 13go roku życia! (według „Pamiętników“) pochodzą także pierwsze jej marzenia autorskie. Wielki romans fantastyczny pod tytułem: „Corambé,“ który nigdy nie był napisanym, wcześnie jak widmo zwiastujące świetną przyszłość, nawidzał jej dziecięcą wyobraźnię.

Zapewne w celu złamania tego uporczywego charakteru, tych wrodzonych zachcianek swobody, oddana do klasztoru Augustynek przy ulicy des Fossés St. Victor w Paryżu, przebywa w nim całe trzy lata, od 1817 do 1820 roku. Tu w kole zakonnic uważana z początku, jak sama powiada „za nieposkromionego niczem djabełka,“ potem uchodzi za „nawróconą owieczkę.“ Była nawet chwila, że pociągnięta niby to gorącem powołaniem, chciała przywdziać zakonną sukienkę. Postanowienie to uznane za dostateczną gwarancję poprawy, przyspieszyło powrót jej do zamku Nohant, w końcu wspomnianego już 1820 roku. Tam oddana sama sobie,— babka umarła w 1821 r. — powoli do dawnych wróciła usposobień. Połykanie książek najrozmaitszej treści, długie przejażdżki konno i samotnie najczęściej, czuwanie wreszcie przy łożu konającej babki, zajęły przeszło rok jej życia. Prócz chorej staruszki nie widując absolutnie nikogo, puszczała wodze marzeniom, i żyła wciąż w fantastycznym świecie wyobraźni.

W liczbie dzieł przeczytanych przez nią wówczas, a które jak sama powiada „na jej umyśle największe wycisnęły wrażenie,“ spotykamy: „Le génie du Christianisme“ i „Réné“ Chateaubriand'a; „Naśladowanie Chrystusa“ Tomasza a Kempis, „l' Emile“, „La profession de foi du Vicaire Savoyard,“ „Le contrat social“ i „Le discours sur l' inégalité parmis les hommes“ Jana Jakóba Rousseau. Bajron'a, Szekspira i Moliére'a, czytała także z wielkiem zajęciem. Jak widzimy, podręczniki niekoniecznie zgodne z sobą i niekoniecznie zdolne poskromić egzeltację młodzieńczego umysłu. (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(*Ciąg dalszy.*)

Mickiewicz był wprost przeciwnym rewolucji nieobliczonej, hazardowej, krzykliwej. W zasadach i dążeniach socjalno politycznych, był zawsze pełnym umiarkowania, łagodził, łączył — sprowadzał wszystko do harmonji. otrzeźwiał wybujałe umysły. Dość tu przejrzeć artykuły jego polityczne w „pielgrzymie polskim“ przez Bohdana Jońskiego wydawanym; dość przeczytać artykuł „do przyjaciół galicyjskich“ *) pisany przed wyprawą Zaliwskiego.

„Póki nie obalimy rządu obcego, póty wszelkie krzyki na tytuły, na arystokrację etc. są głupstwem...; „Wojna nasza jest teraz nie domową, ale zewnętrzną...“ Książę, hrabia, chłop i żyd, równie są nam potrzebni.“ „Dlatego najstaranniej unikać wszelkiej wewnętrznej kłótni o arystokrację i demokrację...“

Zapatrywań tych swoich, nie zmieniał potem Mickiewicz, w skrajności socjalno-polityczne nie rzucał się nigdy, przynajmniej żadnych na to nie mamy dowodów, a przeciwnie list jego z 22 stycznia 1847 do hr. Józefa Grabowskiego, najwyraźniej dowodzi, że potępiał knowania Mierosławskiego i wspólników.

„...z odddawcą twego listu miałem rozmowę. On zdawał się bardzo rad z tego rosło u was a co on nazywał powstaniem. Nie wiele słuchał, kiedy wystawiałem nikczemność całej roboty. Tłumaczył się entuzjazmem, zapałem. Otóż właśnie nie było tam ani entuzjazmu, ani zapału ani wiary, tylko wzajemne łudzenie się gdzie każdy niepewny siebie i znający swą wewnętrzną nicość nastawiał się, aby drugich wieść ...“ „Dotąd ten zapał objawia się w kłótnich wewnętrznych!..“ **)

Te więc akcje rewolucyjne 1846 r. wydają się nam przyczyną rozdwojenia, o którem mowa. Tu jeszcze dodać wypada, że teroryzm, gwałtowność wszystkich, co w ruchu tym przewodzili, miotanie imieniem zdrajców na obóz przeciwny, łajania się wzajemne i oskarżenia, nie obce też widać i towiańszczyźnie, a wstrętne szlachetnej, umiarkowanej, pobłażliwej duszy Mickiewicza — dyktowały mu owe słowa w liście do Towiańskiego „o trzodzie wilków itd.“

Gdy po śmierci Grzegorza XVI objął stolicę papieską Pius IX, Mickiewicz udał się do Rzymu, odnowił stosunki ze Zmartwychwstańcami, serdecznie zbliżał się do matki Makryny, starał się o roztrząśnienie przez sąd kościelny dzieł swoich, i o pozyskanie względów dla Towiańskiego. W tym celu był na audjencji u Piusa IX. Czytamy w Przeglądzie poznańskim***), że „byłoby może przyszło do pojednania, gdyby nie wybuch lutowy,“ skutkiem którego Mickiewicz zaczął organizację legjonów i przeciw papieskiej władzy świeckiej wystąpił. *Inde ira*, że kongregacja indeksu ogłosiła 17 kwietnia 1848 wyrok z podpisem kardynała Mai, potępiający prelekcje Mickiewicza, wydane p. t. „L'Eglise officiele et le Messianisme“, tudzież „l'Eglise et le Messie,“ czyli t. IV i V francuskiego wydania prelekcji.

O ile przeciwnym był Mickiewicz knowaniom 1846, o tyle wierzył w powodzenie walki rycerskiej, z otwartą przyłbicą, w legjonach — jak Dąbrowskiego — opartych na potędze przyjaznej armji. Dla tego też rewolucja 1848 i stanowisko Ludwika Napoleona, wydać się musiały jemu, wielbicielowi bonapartyzmu tem, czem była potęga Napoleona I dla nadziei naszych w owych czasach, czem była dla Dąbrowskiego, ks. Józefa itd. Zaczyna też formować legjony we Włoszech, mimo obojętności, a nawet przeszkód przez rodaków mu czynionych — gdyż wierzył ślepo w ich przyszłość, w ich skuteczność. „Nasz pochód będzie tryumfalny“ — pisze do pani Wodpol 9 maja 1848 z Medjolanu, a już wtedy odsunął się był zupełnie od Towiańskiego, bo siebie już, a nie mistrza, poczytywał teraz za przewodnika narodu. „Moim obowiązkiem, jako przewodnika narodowego było...“ itd. pisze do pani Wodpol w lipcu 1848 *).

Nie wróciły też dawne stosunki i potem; wprawdzie nie ma dotąd śladu głośnego, otwartego zerwania z Towiańskim, ale zerwanie było widocznem — co ogólnie spostrzegano z postępowania i korespondencji poety, i czego nie zapierali Towiańczycy. Rozpoczęte na Wschodzie akcje, poprzedzające wojnę krymską, rozdarły przepaść między dalszem życiem Mickiewicza i Towiańskiego. Mickiewicz i jego przyjaciele, zwracali patrjotyczne nadzieje na zachód, towiańszczyzna skłaniała się ku Rossji.

Tymczasem towiańszczyzna mając punkt środkowy w Szwajcarji, szerzyła się tam od r. 1850, a następnie i we Włoszech rozkrzewiał ją szczególniej ks. Duński. Wydana po jego śmierci broszura przez K. Różyckiego: „*Dunski prétre zelé* itd.“ przetłumaczona na język włoski i wydana w Turynie 1857 pt. Duński sacerdote zelante itd. niemałego narobiła hałasu, dostała się do wiadomości stolicy papieskiej — i rozbudziła przeciw sobie polemikę dziennikarstwa katolickiego we Włoszech. „*L' Apologista*“ i „*La Bilancia*“, umieszczały z końcem 1857 szereg artykułów przeciw towiańszczyźnie. Biskup w Cuneo wydał do podwładnego sobie duchowieństwa okólnik (12 października 1857) potępiający sektę i przestrzegający przed jej propagandą.**)

Pułkownik Różycki stał się odtąd głównym kierownikiem, i po śmierci ks. Duńskiego, najsilniejszą podporą towiańszczyzny. Punkt ciężkości dla niej tworzyła wciąż Szwajcarja.

IX.

(*Pogląd na „Sprawę.“ — Opinje o Towiańskim. — Jakby właściwie sądzić o nim należało? — Czy Towiański zagasił natchnienia poetów?*)

Uczniowie Towiańskiego, byli to przeważnie ludzie entuzjazmu i uczucia, poeci — lub tacy, co dawali przewagę wyobraźni nad czystym rozumem, rozkołysani messjanizmem filozofji i po-

*) Adama Mickiewicza dzieła. Paryż 1870. T. IV. str. 97.

**) Koz. A. Mick. T. I str. 211.

***) T. XXV 1858 str. 184.

*) Kor. A. Mick. T. I str. 236 i 240.

**) Nie brakowało atoli „Sprawie“ i na gorliwych obrońcach we Włoszech. Wymieniamy tu rozprawy włoskie za nią przemawiające jak: „*Sull' Opera di Dio che fa A. Towiański. Torino 1864*“, lub; „*I tempi attuali e la missione di Andrea Towiański. Lettura fatta il 20 marzo 1866 da Tancredi Canonico prof. di Diritto penale nella R. Universita di Tarino 1866.*“

ezji, pełni patrjotyzmu, a ztąd szukający we wszystkiem środków pomożenia ojczyźnie.

Teorja religijno-filozoficzna o przyjściu epoki Ducha św., o czem na początku była mowa, zdaje się — że także utorowała drogę wierze w Towiańskiego, zwłaszcza jeżeli weźmiemy na uwagę „L'Oeuvre de la Miséricorde". W r. 1839 pojawiła się we Francji sekta Piotra Michała Vintras pod godłem powyższem „dzieła miłosierdzia." Vintras ogłosił się prorokiem, wmawiał, że czyni cuda, zawiązał siódemkę świętą, niby radę lub zastęp apostolski i wydrukował pismo „Opuscule" z godłem „*et renovabis faciem terrae*", które później rozwinięto w „książce złotej" (Livre d'or). Zapowiadał Vintras rychłe nadejście panowania Duch św., który w człowieku dźwignie upadłego anioła.

Witwicki dopatruje tu podobieństwa z towiańszczyzną — i zapewne nie bez słuszności, gdyż wszystkie te zakusy reformatorsko-religijne z jednego pochodziły źródła, które w duchu czasu i w stosunkach leżało, w jakich kościół do społeczeństwa i spraw politycznych pozostawał. Interesa czysto świeckiej, politycznej natury, brały często w Rzymie przewagę, nad interesami religji. Dogadzano tam gabinetom, choćby z krzywdą narodów; oglądano się na władców, nie zważano na uciśnionych, to też niecierpliwe, a do tego marzycielskie umysły, chciały kościołowi wytyczać drogi inne, nawet z zasadą religji nie zgodne. „Chodźcie do mnie uciśnieni" woła Chrystus, więc szukano takiego Chrystusa po za kościołem, gdy go w kościele nie widziano. Natura tych reformatorskich robót ma niejakie podobieństwo z naturą spisków politycznych. Są one chorobą — która powstaje w ludzkości, gdy jej się odejmuje prawo organicznego rozwoju.

Zdaje się, że i Słowacki w imię epoki Ducha św. przyłączył się do towiańszczyzny, a przynajmniej z pism jego możnaby o tem wnioskować. Pod jednym z wierszy swoich, napisał następujące słowa:*)

„Temu, który nie słowy ani nauką, lecz przyjściem swojem i zapowiedzeniem sprawy bożej, ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyźmie zatrzymał i postawił."

Zapatrywanie to swoje, objawił też w liście do Krasińskiego 17 stycznia 1843 pisanym gdzie mówi między innemi: „...Każdego z nas inaczej uderzyło Mistrza słowo i z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornem kole braci układa do harmonji. Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno."

Ludzie zimniejsi nie dali się porwać tym prądom, stali na uboczu i obliczając szkodliwe tej nauki rezultaty, do rozbratu z nią nawoływali. Różnie też całą sprawę sądzono. Poznaliśmy stanowisko zajęte wobec towiańszczyzny przez duchowieństwo, dodać tu musimy, że pod względem obywatelskim, narodowym, upatrywano w tej nauce klęskę dla zdrowego rozwoju narodowego a nawet znalazły się głosy, jak np. broszura Gołębiowskiego*) upatrujące w tem sprawę nieczystą, brudną, uknutą przez rząd rossyjski dla skompromitowania narodu i zatrucia jego rozwoju umysłowego. Gołębiowski myśl tę swoją do absurdu doprowadza, upatrując w Mickiewiczu szpiega, zaprzedańca rossyjskiego, podsuwając nawet najpatriotyczniejszym jego poezjom (Do matki Polki itd.) myśl antinarodową i nieuczciwą. Dziełko Gołębiowskiego ze wszech miar na pogardliwe odrzucenie by zasługiwało, gdyby nie gorliwość patriotyczna, która jeno z oburzenia na towiańszczyznę, w tak skrajną popadła przesadę. Daje ono zarazem miarę, jaką była po części opinja o Towiańskim i jego nauce.

Gołębiowski czyni go szpiegiem i brudnem narzędziem rządu rossyjskiego; inni nazywają Towiańskiego: szarlatanem, oszustem, a już najłagodniej: szalonym marzycielem. Bezzasadność pierwszego zarzutu wykazywać zbyteczna, a że zwykłym, w ścisłem tego słowa znaczeniu, szarlatanem być nie mógł, już ta jedna okoliczność dowodzi, że posiadał tak olbrzymią siłę przyciągania umysłów. Szarlatan może na chwilę omamić, ale nigdy nie pociągnie za sobą całego ducha człowieka. Do tego potrzeba ogromnej pewności siebie, ogromnej wiary w prawdę tego, co się głosi, przejęcia się tem na wskróś. Szarlatan nie wierząc w rzecz swoją, jak haruspex śmiejąc się z tłumu, igra z nim narzucając mu rzecz swoją na pokarm myśli, lub uczucia. Towiański porywał i przyciągał — bo miał siłę w głębi ducha, siłę przekonania, że mówi prawdę a przemawiał wymownie, śmiało, z zapałem. Kto sam w rzecz swoję nie wierzy, nie wzbudzi wiary — kto sam nie czuje, nie roznieci uczuć. Retoryka i deklamacja na zimno nie czynią wrażenia; sztucznie wywołany w sobie zapał, udawanie zapału, i siły przyciągania nie mają i mijają szybko — Towiańskiego zaś zapał nie opuszczał nigdy.

Z tego samego powodu, nie możnaby też przypisywać mu oszustwa świadomego siebie w celach i środkach, a jedynie na to zupełnie zgodzić się można, że był marzycielem, że wyobraźnia wzięła w nim stanowczą przewagę nad rozsądkiem, że czując i widząc biedę, niedostatki społeczne, a czytając wiele rzeczy przechodzących miarę jego intelektualności, poczuł w sobie zapęd reformatorski. Ówczesne stosunki, filozofja messjaniczna i wieszcza poezja, nastrój umysłów — wszystko to umacniało tylko marzyciela w przekonaniu, że polyski jego fantastyczne, są ogniami przez Boga w nim zapalonemi, są Bożem natchnieniem, objawieniem tej prawdy, tej idei, jakich wyczekiwało społeczeństwo, jakich pragnęła filozofja messjaniczna, jakie przepowiadała wieszcza poezja. Rozczytywanie się w dziełach Mickiewicza, usunęło odeń wszelką wątpliwość — i marzycielstwo zaprawiło u niego siłą wiary w siebie — jako prawda Boża, i padło z ust proroka czy mistrza na umysły skołatane emigracji, jakeśmy widzieli, a padło w chwili, gdy papież Grzegorz XVI potępił walkę narodu polskiego z rządem rossyjskim i uległością swoją dla despotycznych zachceń cesarza Mikołaja, ostudzał zaufanie Polski w sprawiedliwość stolicy papieskiej.

Nie da się zaprzeczyć, że w postępowaniu swojem używał często i podstępów ze wszelką świadomością, że posługiwał się fortelami — ale okoliczność tę, najlepiej podobno wytłumaczyć słowami Małeckiego.*) „Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których wiara i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą z sobą ku wzajemnej pomocy. Wyraz łaciński: *pia fraus* wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniej w to wszystko, co rozgłasza. Ale, ażeby jeszcze bardziej poprzeć sprawę, na korzyść której wystąpił, ucieka się do sztuczek i zmyślonemi, świadomie urojonemi szczegółami, rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak — nie jest rzeczą niepoczciwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechnej."

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

(Ciąg dalszy.)

Niezdecydowany w jaką stronę obrócić moje kroki, szukałem wzrokiem ścieżki, któraby mnie zaprowadziła na łąkę ukazującą mi się zdala, niby szeroki wyłom w niebotycznej ścianie ciemnej zieloności, utworzonej z niezmierzonych lasów tecku. Dolina od stóp wzgórza, gdzieśmy rozpięli namioty, okolona kniejami zbiegała nieznaczną pochyłością, niknąc wśród bagien, trzciny, wodnych roślin i gęstych krzaków. Nagle dolatują mię jakieś przenikliwe głosy niby ryk groźny. Nadsłuchuję co to być może, na to zbliża się dowódca mojej eskorty, oficer pałacowy. Pytam go czy nie są to przypadkiem słonie. — Tak jest — odrzekł mi wskazując ręką stronę doliny, gdzie na odsłoniętej przestrzeni dojrzałem przez lunetę stado tych kolosów podzielone w trzy grupy.

— Chcesz iść ze mną na polowanie? — Zagadnąłem oficera.

— Nie mogę bonghuy, cesarz dla siebie wyłącznie zachowuje tę przyjemność, której jednakże nigdy nie używa. Gubernatorowie prowincji pozwalają sobie czasem brać słonie pod pozorem ofiarowania ich naszemu łaskawemu Yasie, gdy będą wytresowane. Co do mnie, jestem jeszcze na stopniu nadto niskim, bym sobie mógł pozwolić takiej przyjemności.

— My też nie będziemy brać słoni, będziemy je tylko zabijać.

— To jeszcze gorzej! — za powrotem dostałbym kije, albo by mnie odsunęli od służby.

— Zkądże więc pochodzą kły sprzedawane w bazarach Mandelay, tuż za bramami samego pałacu?

— Nie widziałem... nie brałem...

— Rozumiem...

— Uchodzą one ciągnął dalej oficer — za kły zbierane po słoniach, które zginęły naturalną

---

*) Wydanie pośmiertne dzieł Słowackiego. T. I część 2. Poezje liryczne tam się poczynające, odnoszą się do Towiańskiego. Dedykacja powyższa odnosi się do wiersza liczbą V oznaczonego. (Małecki o Jul. Słowackim T. II.)

*) Mickiewicz odsłoniony i Towiańszczyzna, przez Władysława Gołębiowskiego. Paryż 1844.

*) Jul. Słowacki jego życie i dzieła T. II str. 205.

śmiercią, lub zostały złamane w walkach obopólnych. Mogą one pochodzić i z innego źródła, lecz ja bym się na to nie odważył... Któż mi zaręczy, czy któremu z moich ludzi nie nakazano śledzić mnie podczas podróży? Panu jako cudzoziemcowi zapewnie nic nie powiedzą, zresztą jesteś pan w przyjaznych stosunkach z Kala-oun (minister cudzoziemców) i możesz, gdyby w tym względzie zdano jaki raport, rzecz tę załagodzić.

— Oto wcale się nie troszczę.

— Może i nie masz racji bonghuy — odparł oficer spokojnie.

Nie zważałem na tę przestrogę wypowiedzianą nie zbyt jasno, i która jakby mimowolnie wyrwała się z ust oficera; później nie raz przychodziła mi na myśl, i żałowałem żem nie był oględniejszym.

Postanowienie moje na ten raz było nieodwołalne. Zarzuciwszy na siebie strzelbę, którą tygrys już był zmaltretował, a która została doskonale naprawiona przez jednego z mechaników przybyłych ze mną z Europy, napełniłem kieszenie nabojami, w rękę wziąłem sztucer o kulach wybuchających, których pół tuzina miałem w ładownicy opasanej koło bioder, poczem zbiegłem prędko z pochyłości zapuszczając się w dolinę. Aby nikogo nie kompromitować sam poszedłem.

Kryjąc się za krzaki i drzewa, zbliżałem się szybko do słoni, które coraz wyraźniej mi się pokazywały z po za zasłony liściastej w odstępach przerzedzonego lasu. U schyłku pagórka zatrzymałem się na chwilę dla odetchnięcia i odzyskania spokoju.

W oddaleniu czterystu metrów odemnie, stał wódz pokolenia, najstarszy i najkolosalniejszy ze stada odbywając czaty w odległości pięćdziesięciu kroków od wału zieloności który okalał dolinę. Z przeciwnej strony łąki, drugi słoń podobnych rozmiarów zdawał się taki sam sprawiać urząd. Po za tą linją demarkacyjną, podzielone pary oddawały się hałaśliwym igraszkom. Trochę dalej gromada dorosłych słoni, centrum grupy, bądź zabawiała się wyrywaniem krzaków z korzeniami, tu i ówdzie wyrastających wśród łąki, bądź włóczyła się lub drzemała spokojnie. Około dużej kałuży, rodzaj stawu zalewającego jeden koniec doliny, oddawało się wesołej rozrywce młode pokolenie, skacząc, tłumiąc szuwar i obryzgując się błotnistą wodą z wielkiemi oznakami uciechy.

Okoliłem ostrożnie łąkę, trzymając się brzegu lasu, który mi użyczał swej osłony; na dwieście metrów od przewódcy stada gałęź zatrzeszczała pod mojemi nogami. Kapitan zastrzygł uszami, obwisłe klapy postawił w kształt konchy, zwolna poruszył głową aby rozpoznać kierunek i przywołując do pomocy zmysł powonienia wciągnął silnie powietrze trąbą. Przystanąłem kryjąc się za pień drzewa; minęła chwilka i słoń uspokojony zwrócił się w inną stronę. Miałem wielką ochotę wysłać mu dwie kulki, ale wstrzymałem się jeszcze. Gruba jego skóra przedstawiała silny opór, mogłem go więc nie zabić z tej odległości. Puściłem się dalej, i od drzewa do drzewa chyłkiem zbliżyłem się na pięćdziesiąt kroków od niego. Niespuszczając oka ze zwierza, zdjąłem strzelbę z siebie, oparłem ją o drzewo, żeby mi nie przeszkadzała, a odwiodłszy kurek u sztucera nabitego kulą wybuchającą, gotowałem się strzelić.

Potwór zwietrzył mię!... Zwracając się w stronę pasącego stada, wydał ten dziwny, niepojęty ryk, zwany powszechnie zatrąbieniem, poczem zawrócił i gotował się biedz ku mnie. Nie dałem mu na to czasu; korzystając z chwili gdy był jeszcze trochę bokiem do mnie obrócony, wypaliłem wstrzymując go w miejscu. Po strzale nastąpił wybuch materji, słoń wydał straszliwy ryk, którego końcowe tony zamarły mu w gardle, skoczył i padł na ziemię jak jedna nieruchoma bryła.

Na odgłos podwójnego huku, powtórzonego echami lasu, młódź spłoszona pochowała się w zaroślach i błocie, gromada dorosłych słoni poszła w jej ślady, wstrzymując się jednak nad brzegiem wody, a odosobnione pary zbiegły się umykając na przeciwny koniec łąki. Tylko drugi strażnik, adjutant poległego kapitana, odważył się stawić czoło niebezpieczeństwu; po krótkim namyśle ruszył naprzód i w szybkim biegu zbliżył się do poległego kolegi. Tu stanął, począł wąchać nieboszczyka, wykrzywiać się, gapić, czem wyrażał swoje zdziwienie, rozpacz i wściekłość. Przez ten czas nieopuszczałem mego stanowiska przyglądając się z zaciekawieniem tej scenie; nie zaniedbałem jednak nabić powtórnie mój sztucer Devisma i zmierzywszy się spokojnie pociągnąłem za języczek. Czy że słoń był trochę za daleko, czy też w chwili wystrzału zrobił ruch nieznaczny, dość że kula zsunęła się po grubej jego skórze i pękła okrywając go obłokiem duszącego gazu, bez zadania mu jednak rany. Błysk strzału zdradził moje ukrycie; potwór zaledwie przejrzał wśród dymu i otrząsł się z odurzenia, podniósł trąbę i zmierzył się do ataku. Uchwyciłem za strzelbę opartą o drzewo i bez namysłu wysłałem mu oba naboje w środek piersi; ten błąd ściągnął mi najfatalniejsze następstwa. Często widziano słoni naszpikowanych strzałami jak zmiatały swoich przeciwników; ja postąpiłem nierozważnie, zabrakło mi zimnej krwi, powinienem był wpierw nabić mego Devisma a nie strzelać na oślep. Słoń dosięgnięty kulami ryknął straszliwie, przeciągle, tym rykiem, który krajowcy oznaczają wyrazem *bool*, chwilę stał nieruchomy jakby przyrosły do ziemi, następnie potarł sobie końcem trąby miejsca w których utkwiły kule, i ruszył ku mnie rzuciwszy swoim hasło zwoływania.

Położenie moje stawało się coraz krytyczniejsze! Nabić sztucer kulą wybuchającą nie było już czasu, mój rewolwer pomimo swej doskonałości był niedostateczną bronią; w ucieczce zaś nie mogłem szukać ratunku, gdyż potwór byłby mnie wkrótce dogonił. Co tu począć?

Myśl szczęśliwa, jak błyskawica rozprószyła pełne trwogi wahanie; rzuciwszy strzelbę w krzaki w mgnieniu oka przewiesiłem sztucer przez ramię i obejmując drzewo począłem drapać się w największym popłochu. Kolos jak huragan sadził wprost na mnie, ziema trzęsła się pod jego stopami, mnie groza niebezpieczeństwa jeżeli nie strach dodawały skrzydeł. Zaledwie uczepiłem się grubej gałęzi, drzewo zachwiało się jakby miotane burzą. Zwierz dopadł do stóp tamaryndy, okręcił trąbą pień i wstrząsał nim ze straszną zaciekłością; każde inne drzewo byłoby uległo jego ciosom, bądź wyrwane z korzeniem bądź złamane. Widząc bezskuteczność jego wysileń ochłonąłem trochę i nabiłem Devisma; w tym czasie słoń przyszedłszy do przekonania, że nie obali drzewa, wspiął się przedniemi nogami usiłując dosięgnąć mnie swoją straszliwą trąbą; koniec jej dotykał prawie do mojej wysokości czułem gorący jego oddech. Niedostał mię przecież, spuścił się na dół począł bić nogami o ziemię i z wściekłością ostrzył kły o pień, wyżłabiając za każdym razem rys na dwa cale głęboki.

Czas było zakończyć tę komedję, bo dostawałem już zawrotu głowy. Zmierzywszy w sam środek grzbietu kolosa, żeby niechybić, dałem ognia... powalił się ciężko, wydając ostatni ryk chrypliwy, krew buchnęła obryzgując mię, co więcej zostałem oślepiony, uduszony prawie gazem kuli, która pękła prostopadle podemną.

Wczasie tej walki, reszta gromady posłuszna hasłu zwoływania, rzuconemu przez adjutanta, poruszyła się z początku zwolna, później przyspieszyła kroku, ale na 150 kroków padł drugi strzał, nastąpił wybuch i słoń wyzionął ducha w ostatnim ryku. Bez długiego namysłu spłoszona gromada zwróciła się wtył i nie chcąc szukać niebezpieczeństwa poczęła zmykać z szybkością niesłychanną; w pięć minut całe stado było ukryte w głębiach ciemnego lasu.

Oswobodzony od napastników spuściłem się z gałęzi, a nabiwszy strzelbę którą w krzakach znalazłem, zbliżyłem się do słonia, śledząc, czy moje strzały z dubeltówki doszły do miejsca przeznaczenia. Byłem zadowolony; dwa strumienie krwi sączyły się z piersi w odległości sześciu cali od siebie; poszedłem dalej obejrzeć drugą ofiarę i zabrałem się z powrotem do mojej eskorty. W połowie drogi spotkałem Józefa i Desirego; niezwłocznie obarczyłem ich bronią ciężącą mi niesłychanie, tak byłem zmęczony a właściwiej roztrojony. Kiedym stanął u naszego biwaku, słońce kryło się za szczytami gór Mahoo-Thoung, wieczerza była gotowa, ale przyznam się nie miałem apetytu...

Młody oficer, komendant eskorty, był niewyczerpany w pytaniach; chętnie mu też odpowiadałem, a przy deserze zagryzając plasterki ananasu posypane cukrem palmowym, przed salaterką mleka kwaśnego, pokazałem mu kule wybuchające. Indjanie słyszeli huk eksplozji rozlegający się wśród samotnej ciszy niezmierzonych łanów, podawany daleko echem cichych lasów. Józef i Desiré rozpowiadając, jaki był wynik mojej ekspedycji, wynieśli mię w oczach ludzi eskorty do rzędu genjuszów, czarnoksiężników, zrobili cząstką samego Buddy, a to wszystko dzięki systemowi Devisma. Każdy życzył sobie widzieć kule i broń; sprawiłem im tę uciechę, a korzystając z wrażenia jakie na nich sprawiłem oznajmiłem, że jutro o godzinę później wyruszymy w drogę, Józefowi zaś poleciłem by nie zaspał, co mu się często przydarzało.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

V.

Edmund pędził do miasteczka z myślami, których by mu pewnie nikt nie pozazdrościł. Pragnął zobaczyć Herminę i bał się z nią spotkać; gniewał się na hrabiego i w duchu przed nim się korzył; wstydził się myśleć o Toni — a przecie w myślach ciągle mu stawała. Sam czuł, że stan

jego duszy nie był naturalny ale gorączkowy. Na ćwierć mili przed miastem spotkał Herminę wracającą do domu. Przed faetonem jadący dżokej prowadził pięknego konia pół krwi angielskiej.

— A, pan Edmund! — zawołała wesoło gdy się zrównali — dopiero teraz, bardzo pięknie! Nawet mi pan nie pomogłeś potargować się trochę z pełnomocnikiem księcia Romana, który zabrał mi dwieście dukatów za jednego konia.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział Edmund zbliżywszy się do faetonu, aby uścisnąć podaną sobie rączkę — ale nie wiedziałem, że pani będziesz na jarmarku w takim interesie.

— Albożnie mówiłam panu, że tego roku musimy razem zapolować z chartami? Jak widzę lepszą mam pamięć.

I pogroziła mu z lubym uśmiechem.

— Jam to za żart uważał.

— Bynajmniej! I aby pana przekonać, że serjo mówiłam, rozkazuję — tu głos jej brzmiał poważnie — abyś po jutrze rano był gotów i czekał mego przyjazdu.

— Z największą przyjemnością... nawet z niecierpliwością...

Oko pięknej kobiety błysło demonicznie, gdy Edmund ostatnie słowo wymówił.

— Prawda żeś pan niecierpliwy, ale mam nadzieję, że razem z Tonią nauczymy pana tej cnoty kobiecej... A teraz do widzenia panie Edmundzie. Dziś jeszcze muszę się przekonać, czy mój nowy anglik nie skompromituje wielkiego narodu, którego krew w jego żyłach płynie; pojutrze zmierzymy się, w otwartem polu. — Podała mu rękę, czule ją uścisnął, i rozjechali się w dwóch kierunkach przeciwnych.

Przypadkowym świadkiem ich spotkania był hrabia Dziunio, który wracając także z jarmarku drogą poprzeczną, zobaczył na szosie dwa stojące ekwipaże. Zdjęty ciekawością, wyjął z torby binokle, i mimo znacznego oddalenia poznał rozmawiających. Właścicielowi *Spedyego* musiało się podobać to odkrycie, bo schowawszy binokle, z zadowoleniem poprawił kołnierzyki, zdjął kapelusz, grzebykiem który miał wiecznie w bocznej kieszeni tużurka, przygładził sobie włosy i rozkazał woźnicy by pędził do domu co konie wyskoczą. W domu przebrał się, oblał perfumami z dwóch różnych flakonów, z których jeden miał etykietę angielską a drugi francuską, zjadł prędko objad, wydał dyspozycje, kazał zaprządz do *dżiga* i ruszył do Romanówki.

Dla Toni dzień ten był dniem samych niespodzianek. W kwadrans po wyjeździe pana Olpińskiego, zjawił się pierwszy lew powiatowy, hrabia Dziunio. Młoda kobieta chciała go nie przyjąć, lecz dzielny młodzieniec tak szybko skoczył na ziemię, i z takim impetem rzucił się w drzwi prowadzące na ganek, które po wyjściu oryginała nie były jeszcze zamknięte, że Tonia nie miała czasu urzeczywistnić powziętego postanowienia. Za to zemściła się zaraz na wstępie, bo gdy dawny jej wielbiciel chciał ją w rękę pocałować, ona szybko ją cofnęła, mówiąc:

— Witam pana.

Dziunio uśmiechnął się dziwnie słodko, poprawił kołnierzyki, przygładził włosy, rzucił monokl w oko i jak zwykle rozpoczął dyskurs od pogody a potem od zapytania: jak się pani bawi? Tonia odpowiadała krótko i niechętnie, uskarżając się na brak czasu i wielkie w domu zajęcie. Pełen nadziei młodzieniec nie chciał tego zrozumieć.

— Pani zanadto się maltretujesz domem i gospodarstwem — przemówił tonem prawie protekcyjnym. — Siedzenie na wsi musi wreszcie zmęczyć, znudzić... Pani potrzeba koniecznie towarzystwa, kogoś coby panią zrozumiał i ocenił... Edmund naprzykład dobrze to pojmuje, i właśnie przed południem widziałem go w bardzo miłem *tête-à-tête* z naszą piękną amazonką.

Tonia słuchała z niepokojem w oczach. Gdy mówiący skończył i o krok się przybliżył, żona Edmunda szybko powstała, krew zarumieniła jej jagody, spojrzenie zrobiło się poważne, nawet surowe — a przez drobne usta wyrwały się słowa:

— Panie hrabio dosyć tego! Czy mi potrzeba towarzystwa, o tem najlepiej sama będę wiedziała, w każdym atoli razie mogę cię hrabio upewnić, że nie życzę sobie towarzystwa ludzi, którzy przyjeżdżają po to z wizytą, aby przed żonami obmawiać mężów nieobecnych!

Z temi słowy wyszła z salonu. Hrabia Dziunio spojrzał za odchodzącą i okrył się poważną togą milczenia. Potem odzyskując dawną swobodę, zbliżył się do zwierciadła, wyjął grzebyk, przygładził włosy, poprawił kołnierzyki, i mruknął do siebie.

— Jak mamę kocham, ma temperament, ma! Szkoda tylko, że parafianka...

Kilka minut chodził jeszcze po salonie, zaglądając ciekawie za portjery czy kto się nie zjawi, lecz gdy to nie nastąpiło, chrząknął, wziął kapelusz, wyszedł przed ganek, dostał się na kozieł *dżiga,* który stał na dawnem miejscu, i z najlepszą w świecie fantazją wyruszył z powrotem.

Edmund przyjechawszy do miasteczka, zastał z małemi wyjątkami prawie wszystkich sąsiadów i kilkunastu znajomych z dalszych okolic. Przyjęli go z rozwartemi ramiony jakby im tylko jego brakowało.

Na głównym placu ścisk był nieznośny, a wrzask tu panujący mógł zdenerwować najsilniejszy organizm. Kilkaset chłopskich wozów mięszało się z wózkami i budkami żydowskiemi — przed domami, gdzie w oknach i w bramach stali kupcy, prezentowano konie najrozmaitsze — ten na cały głos chwalił, ów jeszcze głośniej ganił, trzeci krzyczał, inny bił natrętnych, piąty płakał, szósty ciągnął za połę uciekającego, który w czas się opatrzył, że go chcą oszukać, podstawiając kaleki zamiast koni zdrowych — miejscami stróże publicznego porządku torowali drogę jakiemu ekwipażowi — a od czasu do czasu, gdy wrzask piekielny przycichł na chwilę, dawał się słyszeć na jednym rogu placu głośny okrzyk: *Świże pricle!* któremu po drugiej stronie wtórowały niemniej donośne wołania: *Heisse Bobes! Pomarańcze po pięć! po pięć!*

Ekonom, którego Edmund naprzód wysłał, sprzedał był już dobrze dawną czwórkę i wybrał nową, z którą czekał do przyjazdu swego pana. Edmund przelotnie spojrzał na konie, wypłacił cenę umówioną i ekonomowi kazał natychmiast wracać do domu. Sam zaś w towarzystwie pana Damazego, który pierwszy się znalazł i jak duch opiekuńczy na krok go nie odstępował, poszedł na objad do kasyna, gdzie się zebrali wszyscy znajomi.

— Edmundzie! Damaziu! tu, tu! — zagrzmiało kilka głosów od stołu, przy którym były jeszcze wolne dwa miejsca.

— Jak się masz Edmundzie! — zawołał znany nam pan Jakób — tak się w domu zasiedziałeś, że ani cię zobaczyć.

— Dogląda gospodarstwa — odpowiedział za Edmunda pan Damazy z uśmiechem dwuznacznym.

— Nie dziwota, młody żonkoś! — ozwał się głos trzeci.

— Ktoby tam wierzył w jego gospodarstwo! — przemówił czwarty z obecnych — zhardział i basta.

— Prawda, żyje tylko z hrabiami, a na szlachtę z góry patrzy — potwierdzili inni.

— Dajcie mi święty pokój z hrabiami — odparł Edmund zniecierpliwiony.

— Nie wypieraj się bratku, nie wypieraj! — zawołał pan Jakób. — Przecie pani Hermina była tu przed godziną aby kupić konia i sama mi mówiła, że macie polować z chartami.

— Ale to kobietka! — zadzwonił głosik jakiegoś młodzieniaszka od szarego końca stołu. — Szyk nielada! Cudowny szyk! Jabym sam z nią zapolował.

Edmund zmierzył młokosa, którego opiekun przedwcześnie zrobił pełnoletnim, wzrokiem zimnym i wzgardliwym.

— Nie sroż się tak bardzo — przemówił pan Damazio, uderzając go lekko po ramieniu — nikt nie zaprzeczy że to smaczny kąsek.

— Mój Damaziu — odparł Edmund — nie dziwię się młokosom, ale wam... żonatym...

— Żonaci najlepiej się na tem znają, bo żonaci... — zaśmiał się pan Jakób, a podnosząc kieliszek zawołał: — Napijmy się! kochajmy się!

Wypili, napełnili drugie, i gwar zrobił się jeszcze większy. Edmund chciał wstać i odejść; kochani sąsiedzi gwałtem go zatrzymali.

— Zostanę — rzekł siadając — ale pod warunkiem, że o damach mowy tu nie będzie.

— Dobrze, dobrze! Za zdrowie dam! — zawołano z kilku stron naraz.

Dotrzymali przyrzeczenia; o pani Herminie nikt już nie wspomniał.

W wesołem towarzystwie czas prędko zbiega i biesiadujący ani postrzegli, kiedy się wieczór zrobił. Wszak wielki jarmark odbywał się w powiecie tylko raz do roku, wszak wszyscy kochali się tak szczerze, mimo że sąsiad z sąsiadem bezustannie procesował się o miedzę, krzaki, wodę i łąki — wszak jeden drugiemu miał tyle do powiedzenia! Właśnie gdy chciano wstać od stołu, jak bomba wpadł do sali okrągły pan Krzysztof, a rozglądnąwszy się w około przybiegł natychmiast do stołu naszych znajomych.

— Chwała Bogu że was jeszcze zastałem! — krzyknął na cały głos, ściskając kolejno każdego za rękę. — Słowo honoru, panie dobrodzieju, bałem się czyście się już nie rozjechali. Tożto dziś byłem w opałach! Dopiero przed kwadransem wróciłem *sznellcugiem* z miasta, gdzie zostawiłem żonę z dziećmi. Wyobraźcie sobie, moja stara uparła się bym Kostusię oddał do „sakraker“, czy jak się tam do licha nazywają, a mego Jaśka do pensjonatu. Cały dzień targowałem się, słowo honoru panie dobrodzieju. Strach jak drogo!

— A dobiłeś targu? — ktoś zapytał.

— Jużci dobiłem, bo się stara uparła... ale słowo honoru, dałbym pięć reńskich żeby było taniej. Lecz nie koniec, gdzie tam! Moja stara uparła się znowu, że przy dzieciach tydzień zostanie, i rad nie rad musiałem ją zostawić. Strach co mnie ten tydzień będzie kosztował. Najmniej pięćdziesiąt reńskich, strach! Ale taka już moja natura, ja dla dzieci panie dobrodzieju wszystko, słowo honoru, wszystko!

— Więc tyś teraz wdowcem słomianym! —

zawołał pan Damazy. — Witaj nam wdowczyku, witaj! I aby ci ulżyć w twojej samotności, wybierzemy się zaraz wszyscy do ciebie na herbatę i kolacyjkę.

— Na herbatę? Na kolacyjkę? — powtórzył pan Krzysztof tonem nierównie niższym, wpatrując się niespokojnie w Damazia.

— Mieszkasz przecie najbliżej, a dobry szlachcic był zawsze gościnnym.

— Prawda, Damaziu, słowo honoru prawda! Jakem szlachcic tak was proszę na herbatę i kolacyjkę, bo taka już moja natura, że dla kochanych sąsiadów wszystko, słowo honoru wszystko, choćby krwi z pod serca! A jakie mam winko! Tokaj ośmdziesięcioletni... mój dziadek przechowywał go w swojej piwnicy.

— Mówi o dziadku, a tymczasem jeszcze jego ojciec brał harapem na łanie — szepnął pan Damazy do jednego z najbliżej stojących.

Zaczęły się prośby i wymawiania. Pan Krzysztof błagał każdego z osobna, ręcząc słowem honoru, że największą sprawi mu przyjemność, jeżeli zajrzy do jego domu. Jedni oświadczyli gotowość wyjechania natychmiast, drudzy chcieli uniknąć pana Krzysztofa i jego tokaja. Do tych należał Edmund. Po krótkim oporze, powiodło się jednak panu Damazemu przełamać opór młodego człowieka, a gdy szanowny właściciel Dąbrówki z przyległościami w dodatku zaręczył słowem honoru, że do czternastu dni będzie nowy prom na wodzie, jeżeli kochany sąsiad nie pogardzi jego kolacyjką, Edmund usunął ostatnie skrupuły i wkrótce znalazł się na wózku pana Damazego. Grześ wiózł dwóch innych sąsiadów, z których jeden przechylał się na prawo gdy drugi grawitował ku lewej stronie, bo już od godziny obydwaj byli pod dobrą datą.

Edmund był poniekąd rad temu projektowi. W tym jednym dniu tyle doznał wrażeń, że jakiś czas potrzebował być jeszcze zdala od domu. Jeżeli hrabia wszystkiego się domyślił — to kto wie czy się i Tonia nie domyślała... Przed nią jedną nie miałby teraz odwagi stanąć, jej tylko jednej nie umiałby spokojnie spojrzeć w oczy...

(C. d. n.)

ZA GWIAZDKĄ.

W myśl obrazu W. Grabowskiego.

Gwiazdko moja ty złota!
W mglistej lśniąca oddali,
Ach! za tobą tęsknota
Wiecznym ogniem mnie pali...
Gwiazdko moja serdeczna
Za tobą bez ustanku
Wędrówka moja wieczna
Od wieczora do ranku!
Nad przepastne urwiska,
U wyniosłych skał szczytu
Już się zdajesz tak bliska,
Już cię zrywam z błękitu!
Gwiazdko moja jedyna,
I znów pierzchasz przedemną,
Chmurka kryje cię sina...
A w koło mnie tak ciemno
Nie mogę dojrzeć drogi,
Zimny wichr mnie przeszywa,
Cierń kaleczy mi nogi
Ostry głaz je rozrywa...
Słyszę głosy złowieszcze,
Szyderczе słyszę śmiechy —
Gwiazdko! raz mi ach! jeszcze
Zaświeć blaskiem pociechy!
Jak świeciłaś o świcie
Marzącemu chłopięciu,
W źrenic matki błękicie,
W jej gorącem objęciu!
Jak przyświecasz mi we śnie
W chwili szczęścia ulotnej,
Lecz się budzę boleśnie
Lecz się budzę samotny!

U stóp moich, tam — w głębi —
Gromada ludu czarna
Wieczną walką się kłębi,
Samolubstwem poczwarna
Nienawiścią szalona!
Więc drząc uciekam od niej,
Wyciągając ramiona
Ku mej gwiazdce przewodniej!
A gromada tam w dole
Strasznym goni mnie śmiechem
— „Stój! szalone pacholę!
Dokąd z takim pospiechem?
Wróć, błąkając wśród cieni
Błędne widmo cię mami,
W blaskach jego promieni
Wzrok wypłynie ci łzami,
Pierś tęsknica wysuszy,
Myśl wypaczy szaleństwo,
Nim mu rzucisz z twej duszy
Wieczne kiedyś przekleństwo!“

Lecz nie słucham tych głosów —
I zaklęty urokiem
Szukam cię wśród niebiosów,
Przyćmionem łzami okiem,
Jak w nużącej podróży
Pielgrzym szuka wytchnienia,
Jako żeglarz wśród burzy
Swej latarni zbawienia.
Z tobą w duszy mi jaśniej
W tobie siły me czerpię...
O! nie gaśnij, nie gaśnij!
Świeć mi gwiazdko bo — cierpię!

Niech nie padnę u progu,
Niech mej wiary nie stracę,
Nim ojczyźnie i Bogu
Mego długu nie spłacę.
Ach! a marzę tak pięknie!
W duszy pragnień drży tyle
Że pierś mało nie pęknie.
Gwiazdko! jeszcze przez chwilę
Świeć mi okiem anioła,
W drodze twardej, dalekiej.
Zanim Bóg mię powoła
Tam... ku tobie — na wieki!

1876. *Marja B.*

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

I.

(Ciąg dalszy.)

Tuż do sali przypierała, oddzielona jeno szklannemi drzwiami o pąsowych zasłonach, *ladies Cabin*, kabina dla dam. Urządzona była podobnie opisanej wyżej sali, a różniła się od niej tem tylko, że na prawo i lewo od wchodu szły wygodne łoża, przesłonione gustownemi draperjami. Kilka prawdziwie ładnych obrazów i rycin na ścianach, i kilka miękich fotelów, uzupełniały całość dość wytwornie wyglądającą. Nad drzwiami umieszczona tablica z napisem: *No admittance*, lakonicznie, lecz nie mniej stanowczo wzbraniała mężczyznom wszelkiego tu przystępu, chyba za wyraźnem wszystkich pań pozwoleniem.

Powała rozciągająca się nad temi kajutami ma na zewnątrz rodzaj wypukłości, kształt niby wielkiej pokrywy, której boki zaopatrzone oknami dopuszczają do środka tego olbrzymiego pudła dostateczną ilość światła. Wierzch zaś jej służy za podłogę do trzeciego pokładu, tak zwanego *hurricanedeck'u*. Ten wyłożony cały grubemi tapetami piaskowemi, by nie tak łatwo iskry wylatujące z kominów, ogień wzniecić mogły — letnią porą jest miejscem schadzki dla pasażerów międzypokładowych, im bowiem nie wolno zatrzymywać się przed pierwszą kajutą.

Na tym *hurricanedeck'u*, prawie pomiędzy dwoma olbrzymiemi żelaznemi kominami, stoi mały domek piloty. Oszklony cały chroni go przed ostremi wiatrami; zarazem daje pogląd wolny na wszystkie strony. Mając ztąd widok rozległy, może każdej chwili postrzedz i wyminąć niebezpieczne dla statku *drift'y* i *snag'i**) Nadmienić nam jeszcze pozostaje, że z wnętrza szklannego domku piloty, biegną linwy do dolnego pokładu, tam zebrane drewniane klamrami zwracają się i idą aż do głównego steru. Od niedawna te linwy konopiane zastąpiono na wielu statkach drucianemi, a zmiana ta o tyle jest korzystną, że na wypadek pożaru kierować można sterem, podczas gdy dawniej tamte wnet się spaliły i statek zostawał na łasce fali.

Gdyśmy oglądnęli już dość dokładnie Oceanik, przejdźmy teraz do pierwszej kajuty, i przypatrzmy się bliżej naszym towarzyszom podróży.

Mężczyzn mieliśmy około dwudziestu, a większa część ich gromadziła się zwykle na przedniej części głównego pokładu. Miejsce to obszerne i otwarte, miało zewsząd przystęp świeżego powietrza, a zarazem pozwalało oglądać prawdziwie piękne widoki okolic nadbrzeżnych, pomykających szybko przed oczyma patrzącego.

Znajomy nam kolonista z Missisipi, wracający z Nowego Orleanu po zyskownej sprzedaży wełny, snać nie troszczył się wcale temi pięknościami przyrody, które widział zapewne niezliczone razy, — bo siedział obojętnie, wyciągnąwszy nogi wygodnie za barjerę pokładu, i czytał pilnie *Brother Jonathan'a*. Tuż obok niego w podobnej pozycji, jeno że z rękoma założonemi na okrągłym brzuszku, siedział mały człowieczek dobrej tuszy, i z uśmiechem widocznego zadowolenia patrzył na przelatujące pola, pokryte obficie bawełną i cukrową trzciną. Był on także właścicielem obszernej plantacji w Atchafalaya w Luizianie, a płynął do St. Louis dla uregulowania tam jakiejś sprawy spadkowej. Rozmawiał z młodym słusznym mężczyzną, który oparty o poręcze, zaśmiał się czasem z pustych żartów tłuściutkiego towarzysza, zresztą zaś chmurno i smutno patrzał przed siebie, co trochę kwasiło wesołego dowcipnisia, nie psuło mu jednak zupełnie humoru.

Młody człowiek był Wirgińczykiem, a otwarte i poczciwością tchnące oblicze jego, wyniosłe czoło otoczone gęstym ciemnym włosem i piękna brew, okalająca harmonijnym łukiem ciemne oczy pełne wyrazu, dziwnie odbijały od bladej, pomiętej twarzy sąsiada po prawej ręce. Sąsiad ten również jak on wzrostu słusznego, ale wychudły i zbiedzony, nie bardzo się zalecał swoją powierzchownością, o której Francuz powiedział by że jest *d'une double condouite*. Gryząc paznogcie dumał, i mało zważał na otoczenie, zrzadka wodząc po niem wzrokiem badawczym.

— E! cóż bo u djaska, sir! jak też właściwie brzmi godne nazwisko pańskie? — zwró-

*) *Drift*: wyrwane z brzegów pnie i korzenie drzew, które pływają po rzece. *Snag:* duże pnie tkwiące silnie w łożysku rzeki, często wystające z wody a często niewidzialne zupełnie. Gdy statek niebacznie potrąci je w pędzie, prawie zawsze przepłaci nieuwagę rozbiciem i zatonięciem

cił się z pytaniem wesoły kolonista do Wirgińczyka, widząc że pospolite jego żarciki nie wielkie na nim robiły wrażenie; — ja nazywam się Simmons, a pan?

— Gray... — odrzekł zagadnięty, z łagodnym uśmiechem i lekkim ukłonem.

— Otóż — wracam do rzeczy — łaskawy mój Mr. Gray — mów pan przeciw temu co chcesz, lecz mojem zdaniem nie podobna gniewać się bardzo na tych przeklętych Irlandczyków... pomimo ich głupoty i śmieszności.

— Ale bo ja wcale panu, Mr. Simmons, w tej mierze przeczyć nie myślę! — odparł Gray. — Przeciwnie muszę wyznać, że rzadko u kogo spotkałem tyle humoru zdrowego i naturalnego, dowcipu choć ostrego ale trafnego... ile go znalazłem u tych ośmieszonych Irlandczyków.

— Posłuchaj pan, co mi się wydarzyło przedwczoraj wieczór w Nowym Orleanie... — zaczął niestrudzony Simmons. — Byłem w liczniejszem towarzystwie, gdzie piło się wiele a różnych alkoholiów... Po kilku godzinach wesołej zabawy, mięszanina napojów a osobliwie słodki poncz ananasowy, zaczynał mi działać nieznośnie... Więc wziąłem kapelusz i cichaczem wyszedłem na ulicę, spodziewając się, że chłód wieczorny orzeźwi mię trochę. I rzeczywiście przeszedłem kilka ulic, a świeże powietrze poskutkowało mi wyjaśnienia. Czując się dobrze, chciałem powrócić do towarzystwa; ale te przeklęte ulice w Nowym Orleanie tak do siebie podobne, że nie mogłem żadną miarą odnaleść domu gdzie zostawiłem kolegów. W dodatku zapomniałem nazwisko restauratora, obrzydliwie francuskie, i nie było innej rady, jak powrócić do domu, tj. do hotelu St. Charles. Wystaw pan sobie, świeży kłopot mi przybył, znajdowałem się gdzieś w trzeciej dzielnicy, do hotelu nie znałem także drogi, a tu już po północy, i żywego ducha nie ujrzeć na drodze. Uszedłszy kilkaset kroków prosto nosa, zdybuję *watchmana*, daję mu dolara, i każę prowadzić się do St. *Charles'a*. — *Jist come along hony* — odpowiedział mi, a z tych kilku słów poznałem zaraz po akcencie nosowym Irlandczyka. Szliśmy dość długo i zatrzymaliśmy się przed jakimś małym domkiem z zielonemi żaluzjami, a on wskazał mi ręką drzwi, bym szedł przodem. — Ależ przyjacielu — rzekłem zdziwiony — ja tu nie mieszkam, prowadź mię do hotelu St. Charles!

— Et! co pan możesz mówić mi, gdzie go mam prowadzić! — odparł mi na to podniesionym głosem. Wszak to nasza strażnica... *a — o o o* syn mojej matki wie dobrze co robi...

— Ależ do pioruna, drwisz sobie bratku? Przecie nie zbiłem nikogo, ani upiłem się śmiertelnie, bym spał w kalebuzie?! — zawołałem ze śmiechem, choć mię to trochę już irytowało.

— *Arrah, ochone!* — zawołał mój przewodnik, jak gdyby zdumiony moją śmiałością zuchwałą. — Nie zawiniłeś pan? A któż to chciał mnie przekupić Sirrah?... — Tego było mi już za wiele. Wybuchnąłem głośnym śmiechem, czem jednak szanowny Irlandczyk uczuł się bardzo zgorszonym... Zanim zdołałem się opamiętać, popchnął mię w otwarte drzwi, gdzie kilku jemu podobnych przyjęło mię z otwartemi rękoma.

Widząc teraz, że to nie żart, zacząłem serjo protestować przeciw tak sumarycznej procedurze. Chciałem opowiedzieć całą rzecz, atoli na moje nieszczęście, w tej chwili przybył pod eskortą transport pijanych łobuzów, hałasujących na wyścigi.

— Ja tu nie mam czasu rozprawiać po godzinie z każdym włóczęgą nocnym!... — przerwał mi sierżant krótko; — a! no! dalej z nim... — i wnet znalazłem się za kratą na twardej pryczy, w obmierzłem towarzystwie pijaków, wagabundów i tym podobnej hołoty...

— I spędziłeś pan całą noc w kalebuzie? — zapytał z uśmiechem Wirgińczyk.

— A cóż, sądzisz pan, że ci hultaje wypuścili mię z nieproszonej opieki przed dziewiątą rano? Przezacny „Recorder“ śmiał się do rozpuku, gdym rano opowiadając zdarzenie całe, tej baraniej głowie nie *watchmanowi*, wyrzucał jego sąd doraźny... Uśmiałem się w końcu sam, bo przyznam, że komiczna strona faktu gniew mój przemogła.

— Nie mógłbyś mi pan powiedzieć łaskawie — zagadnął teraz Simmonsa jakiś nieznajomy o powierzchowności przyzwoitej, przysłuchujący się uważnie opowiadaniu jego od początku, — czy wiele zwierza znajdzie w tej okolicy? Jak uważałem pan znasz dobrze te strony, a ja właściwie tylko dla polowania przybyłem tu z Nowego Yorku. Szczególnie radbym natrafić na miejsce, gdzieby tak d u ż o strzelać można...

— Hm... — mruknął zapytany ruszając ramionami; — ot! nie obwijając rzeczy w bawełnę, źle zrobiłeś pan obierając do polowania te strony. Jeleń dziś tu należy do osobliwości, a niedźwiedzie... te, panie, gdzieś z kretesem wyginęły.

— Ależ przynajmniej na kuropatwach nie zbywa... he?

— Tu, nad rzeką, wątpię... Prędzej tam za temi pagórkami spotkać by można jakie stadko a i to sądzę, nie tak łatwo.

— A! mój miły Boże! — zawołał przerażony Nowojorczyk — wszak to zupełnie co innego słyszałem w domu o tutejszem polowaniu! Opowiadano mi naprzykład, że moczary nadbrzeżne formalnie roją się mnóstwem jeleni, kuropatw i innej dziczyzny... a bawoły — te widać z okrętów, gdy piją wodę na brzegu rzeki, i patrzą spokojnie na przepływające statki!

— A! to wcale piękne rzeczy opowiadano panu! — odparł Simmons, parskając głośnym śmiechem. Należy zatem dobrze tylko wzrok wytężyć, a można zapolować wygodnie i oryginalnie. Choć to, u licha, trzeba by mieć oczy i flintę nie lada, aby zobaczyć ztąd i ubić spacerującego po brzegu bawołu!

— A w Missouri lepsze w tej mierze stosunki? — pytał dalej strapiony Nowojorczyk. Chętnie puściłbym się w towarzystwie aż do Gór Skalistych.

— Na każdy sposób, przybyłeś pan już za późno tego roku, wtrącił Wirgińczyk; — bo jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jedyne dwa Towarzystwa, przeznaczone do *Rocky mountains*, jedno z *Fort Smith* w Arkansas, z *Independance* w Missouri drugie, odeszły już pierwszego maja.

— Baczność! Do czółna! — rozległa się nagle komenda kapitana z *hurricanedeck'u* na znak, że Oceanik zbliżał się do prawego brzegu, ażeby zabrać na pokład kilku pasażerów z pobliskiej plantacji. Szalupa kierowana wiosłami przez dwóch silnych majtków pomykała niesłychanie szybko po wzburzonej kołami statku fali, i za kilka minut przybiła do brzegu. Kilku murzynów wyniosło pakunki, podróżni z nieodległego pięknego domostwa, oczekujący mężczyzna i dwie kobiety wsiadły do łodzi, słudzy wnieśli za nimi pakunki, i za chwilę szalupa znalazła się przy statku, który poczynał już ruszać się z miejsca.

— *Go ahead!* — zawołał kapitan do sternika, śledzący z góry całą operację. W mgnieniu oka łódź uwisła na dawnem miejscu, maszyna stęknęła wyrzucając w górę białą parę, i po chwili statek pędził wzdłuż brzegów ze zwykłą szybkością.

Młody Mulata z dzwonkiem w ręku obchodził teraz cały statek i donośnym dźwiękiem zawiadamiał podróżnych o zbliżającym się ważnym akcie dnia — o objedzie. Długi stół, stojący w pośrodku sali jadalnej był już nakryty. Głos metalowy rozległ się powtórnie i w tej chwili kapitan, mężczyzna słuszny o bardzo sympatycznej i eleganckiej powierzchowności, otworzył kajutę pań, i z szarmanckim ukłonem zaprosił je do objadu. Panie zajęły po obu stronach górny i niby honorowy koniec stołu, a w pośrodku nich zasiadł kapitan przed olbrzymią pieczystą z kuropatwy, jako uważający gospodarz i prawdziwy gentleman gotów na każde skinienie swoich pięknych gości. Na przeciwnym końcu buchalter otoczony mężczyznami sprawował ten sam urząd. Na dany znak kilku chłopaków murzyńskich i mulackich, z ogromnemi fryzurami wełnistemi na głowie, i w białem jak śnieg odzieniu, wniosło półmiski z potrawami, które w takiej ilości pokryły cały stół, że śmiało byłyby nakarmiły dwa razy tyle co siedziało, choćby najbardziej zgłodniałych pasażerów.

Amerykańskim zwyczajem objad minął szybko i w milczeniu ogólnem, po ostatniej potrawie podano w małych filiżankach doskonałą czarną kawę.

W kwadrans Simmons i Gray siedzieli znowu obok siebie na *boiler decku**). Wyciągając się wygodnie i wydłubując zęby, twierdził pierwszy z wiarygodną stanowczością, że zjadł dzisiaj bardzo wiele i nie czuje się zdolnym na całe poobjedzie do jakiegokolwiek zajęcia, krom *siesty*.

— To *gumbó* jedzone przez Francuzów tak namiętnie — zaczął po chwili Wirgińczyk — wcale nie przypada mi do gustu. Żołądek mój północny snać znieść nie może tego kleistego przysmaku, nota bene bez woni i smaku... A ten pieprz czerwony, który prawdopodobnie stanowi całą przyprawę korzenną — mojem zdaniem sam wystarcza, żeby człowiek zdrowy, ale nieprzyzwyczajony doń, udusił się z gwałtownego kaszlu.

— O tak, tak... — śmiał się Simmons. — Gdym przybył w te strony, równie panu, nie mogłem pogodzić podniebienia i gardła z tym pieprzykiem przeklętym, i długo trwało, zanim żona poważyła się postawić mi na stole to ciekawe *mixtum compositum*. Ale dziś jużem z niem obyły, i powiadam panu, jem pieprz czerwony tak samo jak cukier.

— Tu jeszcze pół biedy... — wtrącił młody, blady i dość biednie wyglądający nieznajomy, który poprzedniego wieczora przyszedł był pijany na statek i spał nieprzerwanie aż do pory objadowej. — Tu ujdzie to *gumbo*, ale trochę dalej, ot zaraz w Waterlow, gdzie przebywałem rok cały, biorą najrozmaitsze mięso, jakiego tylko

---

*) *Boiler deck*: nazywają na statkach małą wolną przestrzeń przed kajutą mężczyzn, leżącą tuż nad kotłami (*boilers*). Ponieważ w tem miejscu najlepszy przystęp świeżego powietrza, więc *boiler deck* podczas upałów najprzyjemniejszym punktem zbiornym dla pasażerów.

dostać mogą, i sieczą je razem. Na własne oczy widziałem między innemi ingredencjami: sowy, jastrzębie i kruki...

— No... winszuję Waterlowczykom ale nie zazdroszczę tej apetycznej kompozycji... — mruknął z widocznym wstrętem Mr. Gray.

— Skoro już mowa o sowach i krukach... — podchwycił śmiejąc się swoim zwyczajem Simmons — to przyznam się wam, tyle już zjadłem w mem życiu z tej zwierzyny, że gdyby np. dziś statkowi naszemu zdarzył się wypadek, jeden z tych co to po statkach często chodzą, a mówiąc nawiasem nie dziwiłbym się temu wcale, bo pędzimy na wyścigi z wiatrem o lepsze, i ot już trzeci z rzędu wyprzedzamy parowiec — otóż powtarzam, na możliwy wypadek zatonięcia, nie mam co i marzyć o pływaniu. Jak kamień, pójdę niechybnie na dno rzeki.

— Sądzisz pan, iż grozi nam jakie niebezpieczeństwo — zapytał w lot łamaną angielszczyzną i z nietajoną bojaźnią na twarzy, mężczyzna już nie młody, który przed samym objadem przybył był z dwiema paniami na pokład.

— Sądzić nie sądzę na pewne... ale niechno tak pęknie który kociołek, ani zmiarkujemy tego... bo, uważasz pan, siedzimy właśnie po nad niemi... i dostalibyśmy się tak szybko na łono czcigodnego Abrahama, żebyśmy nawet nie byli w stanie, uraczyć tam jakiego ciekawca szczegółami tej osobliwszej przejażdżki.

— Jak wnoszę z tego, nie przesadzono wcale we Francji, opowiadając mi o niebezpieczeństwach podróżowania na amerykańskich parowcach! — zauważał blednąc na serjo podeszły wiekiem nieznajomy z Francji.

— A! broń Boże... tak znowu źle nie jest... odparł z zamiarem uspokojenia go poczciwy Gray. Prawda, że często skutkiem lekkomyślności kapitana i inżyniera zdarzy się wypadek, niestety obfity zawsze w następstwa straszne... Nie wróżę jednak tego naszemu Oceanikowi... Nasz dzielny kapitan, Mr. Wilkens, o ile go znam, jest człowiekiem tak poważnym, rozsądnym i przezornym, że uwłaczałoby mu nawet przypuszczenie podobne. Byłożby to zbrodnią nieusprawiedliwioną niczem, stawiać na kartę życie tylu ludzi, powierzonych mu wyłącznie, tem bardziej, gdy nie mniej narażałby samego siebie. Nie panowie! nawet największy wróg jego nie posądziłby go choćby o myśl podobną!...

— Ależ Mr. Gray... skarz mnie Boże gdybym tylko myśl taką podsuwał zacnemu Mr. Wilkensowi... I ja znam go nadto dobrze, jako człowieka rozumu i charakteru — protestował serjo Simmons.

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny za to przyjacielskie wyjaśnienie — rzekł z grzecznym ukłonem Francuz. — Spieszę teraz uspokoić moje towarzyszki, które — wyznam szczerze — z wielką obawą wstąpiły na pokład statku. — Skłonił się powtórnie i z wesołą miną, jak człowiek, co pozbył się ciężaru gniotącego barki, zwrócił swe kroki do kajuty pań.

— Radbym też wiedzieć — rzekł Simmons po chwili gdy Francuz znikł im już z oczu — czy ten ma z sobą *Life preserver'a**)? W przeciwnym razie dziwiłbym się niezmiernie, co to się jemu stało, i tej jego towarzyszce, tak strasznie otyłej, że odważyli się wejść na pokład okrętu, nie mając zapasem przynajmniej po sztuce „sławnego wybawcy“ od topieli.

— Albož to potrzebne na „zachodnich parowcach?“ — zapytał milczący dotąd zagorzały myśliwy Nowojorczyk.

— Bez wątpienia! — odparł niestrudzony bajarz Simmons — prawie każdy, kapitan statku bierze z sobą na pokład tę prezerwatywę. *A propos* tej tłuściutkiej *Madame*, nie sądzę, żeby ona potrzebowała *preserver'u*, bo te 200 funtów tłustości, które biedaczka nosi z sobą, powinne by ją utrzymać nad wodą... Gdybym był kapitanem, kazałbym jej zapłacić za siebie nadwyżką zwykłego frachtu... Ale ale... patrzcie... statek będzie lądował po drzewo; zdaniem mojem nie zawadziłaby nam przechadzka na brzeg?

Wood pile — *wood pile* — grzmiał donośny głos *mate'a* na międzypokładzie i w łożnicach robotników, umieszczonych w małym zakątku tyłowu okrętu, tuż przy głównym sterze. — *Wood pile* — *boys wood pile*, dało się słyszeć powtórnie, poczem jak krety z nor, wyłazili robotnicy i międzypokładowcy ze wszystkich zakątków podążając na brzeg po przeznaczone dla okrętu drzewo.

Tymczasem *mate* przeszukiwał pilnie wszystkie kryjówki na międzypokładzie, chcąc się przekonać naocznie, czy nie ukrył się który z pasażerów, obowiązanych do noszenia drzewa z brzegu na statek. Zwykła bowiem cena za podróż z Nowego Orleanu do St. Louis, wynosi bez jadła i łóżka pięć dolarów, taki zaś pasażer nic nie ma z drzewem do czynienia. Gdy jednak zapłaci tylko cztery lub trzy i pół dolara, — z Nowego Orleanu mamy do St. Louis około tysiąc dwieście mil angielskich czyli trzystu niemieckich odległości — obowiązuje się tem samem pomagać przy znoszeniu drzewa na okręt, ile razy okaże się tego potrzeba.

Pasażerowie kajutowi, niby pierwszej klasy, płacąc dwadzieścia do dwadzieścia pięć dolarów za cały wikt i posłanie wygodne, są naturalnie uwolnieni od podobnych funkcyj.

— A no, paniczu! — zawołał *mate* do jakiegoś zamaszystego drągala, który wcisnął się był w kąt i udawał śpiącego. Nosicie drzewo?— pytał biorąc go poufale za kołnierz.

— Nie... — odparł zagadnięty węzłowato a niechętnie.

— Pokażcie kartę... — (pokwitowanie ceny jazdy, na którem dla międzypokładowców zawsze wyrażone, czy obowiązani posługiwać przy drzewie.) Na to wyciągnął, po długiem szperaniu w głębokich choć pustych kieszeniach, pomiętą ćwiartkę papieru, i podał ją *mate'owi*.

— Piekło z wami — zawołał sternik gniewnie—dlaczego odpowiadacie n i e gdy was pytam, czy nosicie drzewo? Wszak nie zapłaciliście pięciu dolarów?!

(C. d. n.)

*) *Life preserver*: krągłe poduszki w formie kiszki z nieprzemakalnej i ściślej materji, na jednym końcu opatrzone mosiężną ssawką służącą do nadymania przyrządu powietrzem. Opasują się nim pod samemi ramionami i w razie rozbicia okrętu, przyrząd taki chroni od zatonięcia.

POGADANKI.

XXVIII.

Europa zaczyna naśladować Amerykę — „blaga“ dziennikarska kwitnie już nawet we Lwowie, jak gdyby w Nowym Jorku. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie zastrzelili wróbla, rezonują o marszach i kontrmarszach, zdobywają szańce, bombardują miasta, i operują licznemi korpusami, ku zbudowaniu i podziwieniu tych wszystkich, którzy nie mają śmiałości być tak wielkimi strategami, lub których manuskryptu żaden zecer nie złoży bez nader specjalnego polecenia ze strony dyspozytora. Jednocześnie przewrócono do góry nogami, lub raczej, na dół zerami, wszystkie rezultaty mozolnych obliczeń statystycznych, osiągnięte przez specjalistów. Telegrafować z okolicy, w której na dwadzieścia mil w koło nie ma drutu telegraficznego, stało się obecnie rzeczą tak łatwą, jak napisać książkę nie mając ani jednej własnej myśli w głowie. Co najdziwniejsza, to, że telegramy tego rodzaju, rodząc się jeden po drugim jak grzyby po deszczu, poruszają armiami z szybkością równającą się już prawie szybkości światła. Szczególnie celują w tem bracia Słowianie, przy pomocy pół urzędowych żydów wiedeńskich. Dla nich, przeskoczyć w lot obóz oszańcowany, zamykający wstęp do jakiego wąwozu, odnieść pięćdziesiąt zwycięstw przed południem, a drugie tyle po południu, pomaszerować ze Lwowa do Przemyśla na Tarnopol i po drodze zająć Kołomyję, to fraszka taka, jak pójść na „Przejście Wenery“ do teatru letniego, i wypić kieliszek wódki angielskiej u Kosteckiego, między aktami. A mówiono przecież, że w przecięciu, rasa słowiańska ze wszystkich indoeuropejskich najbardziej jest prymitywną, to znaczy, najbardziej patryarchalną, szczerą, nie znającą przeistoczenia prawdy, i potulną. Snać etnologiczne to twierdzenie postawiono, nie biorąc w rachubę przymieszki hebrejskiej a odgrywającej taką rolę w świecie słowiańskim, ani też *bumażek* petersburgskich, które bezpośrednio lub pośrednio oddziałują na sympatje i antypatje stupiórej hydry, zwanej w naszem stuleciu prasą polityczną.

Beatus ille, qui procul negotiis, itd. Jakże szczęśliwym jest dzisiaj pisarz,którego nie obchodzą ani przesmyki Bałkanu, ani pastwiska nad jeziorem skadarskiem, ani miljony Serbów stojące pod bronią, ani tuziny Turków proszące o pardon i zupełnie bezbronne! Jemu tylko, jemu jednemu, danem jest wśród huku moździerzów cerkiewnych i łoskotu niewypalających karabinów, oddawać się kultowi piękna — jemu jednemu wolno łudzić się marzeniem, że nie przeminął jeszcze wiek złoty, wiek fujarek pasterskich i braku pończoch u pasterek, i że ze szczytów Łyczakowa nie zagraża dotychczas Chorążczyźnie żaden jenerał Alembik, ani Alkoholpasza, ani Łazanek Soczewica, ani inny bohater tego rodzaju...

O, roskoszy! oddaję się tobie całą duszą! Niechaj inni opiewają *horrentia Martis arma virumque* (którego, tj. *virum*, dotychczas nie widać) — niechaj sobie łamią głowy, lub cokolwiek im zresztą służy do dawania zarobku fryzjerom, nad losem kukurydzy i hreczki, tak rycersko nad brzegiem serbskiej Morawy w „trąbę“ puszczonej — n a m uśmiecha się milszy od dzikiego tententu kopyta Bellony, słodki rytm Apollina.

Oto mamy spór niekrwawy, wzniecony przez jakiegoś *Opiekuna Domowego*, którego nie mam przyjemności znać osobiście, ale który musi być niepospolicie lepskim opiekunem dorastających wielkości poważnej naszej literatury, sądząc z tego, że zajmuje się niemi, podczas gdy są jeszcze w kolebce. Opiekun ten wytoczył pozew przeciw drugiej, również nieznanej mi osobie, którą nazwał „Polemiką humorystyczną“ i którą po przeczytaniu wspomnianego pozwu radbym dopaść gdzie na osobności, ażeby jej powiedzieć w oczy, że postępuje sobie niegodziwie nietylko z ideą

*

narodową, z powagą pióra i słowa, z tajemnicami ducha i kałamarza, ale co gorsza, iż sfałszowała opinję narodu, i tradycje jego, i mineralogję p. Żulińskiego, i polot myśli Ernesta Buławy, i nawet mydło Zablockiego. Spodziewam się, że sprawi to czytelnikom moim nie małą satysfakcję, jeżeli im doniosę, że *Opiekun Domowy* obszedł się z tą jejmością w sposób niemiłosierny, i że wyrycytował jej, bez żadnych ogródek, iż obok jej żartów nic poważnego u nas ostać się nie może, i że głos proroków niknie przy jej śmiechu, jak głos emerytowanego basisty przy trzeszczącem wyciu fagotów....

(*A propos* — to „trzeszczące wycie“ jest tak malowniczym zwrotem mowy, że gotów jestem darować je któremu z naszych poetów, gdyby mu było potrzebnem.)

Powiedział *Opiekun Domowy* „Polemice humorystycznej,“ że jest bezecną, krzykliwą, jadowitą, nieszanującą starszych, już niedomagających, ani młodszych, jeszcze będących w tem położeniu, ani pośrednich, i jeszcze, i już, ulegających temu samemu niedostatkowi intelektualnemu. Jednem słowem, *Opiekun Domowy* dał do zrozumienia, że dzisiaj u nas na niwie piśmiennictwa ojczystego jeden tylko krzew wybujał po nad inne, i że tym krzewem jest „Humorystyka polemiczna.“

O, gdyby to było prawdą! O, gdyby w istocie, ponad puste makówki na tej niwie, jedna przynajmniej wyrosła, pełniejsza, wyższa, z daleka widzialna! Ale niestety — nie widać jej nigdzie! Łopuchowi zdaje się, że głuszy go bujnością swoją pokrzywa, a ta nieboga sama sromotnym jest pokurczem między roślinami. Co ona winna temu, że łopuch nigdy w górę nie rośnie, ale tylko szeroko ścieli się nad ziemią, i że w cieniu jego oprócz młodych żab i starych ropuch, żadne boskie stworzenie spocząć nie może? A bujajcie sobie, bujajcie jak najszerzej, moje wy kłapiaste słońcochrony niedokrewnych skrzeków! Pokrzywa piecze tylko tego, kto się jej dotyka. Jeżeli kolor jej listków weselszy od waszej szaro-burej szaty, to wada leżeć musi w oczach ludzkich, które nie umieją poznać się na prawdziwej piękności. Ale zawsze pokrzywa zostanie pokrzywą, i wzdycham też wraz z *Opiekunem Domowym*, ażeby nam czemprędzej porosły dęby niebotyczne na tym chwastowatym majdanie naszej literatury. Precz z piekącemi żartami, nie cierpię ich — ale niechajże kto wstanie i spróbuje mówić na serjo — szumem rozłożystych konarów prastarej lipy, a nie szelestem burzanów i szeptaniem wierzby płaczącej nad kałużą. Potrzeba nam cienia i podpory — dajcie nam jedno i drugie, a chętnie skłonimy czoło!

Jan Lam.

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

BOLESŁAWA CZERWIEŃSKIEGO.

I.

Żyjemy w czasach, które w historji cywilizacji ludzkiej stanowić będą jednę z najważniejszych epok. Od lat kilkunastu trzęsą się wszystkie posady ludzkiego ducha: gigantyczna walka na wszystkich punktach umysłowego widnokręgu wre w najlepsze. Z dniem każdym walą się świetne budowy ducha wzniesione mozolną pracą stuleci, które ludzkość przyzwyczaiła się uważać za niespożyte: co dzień prawie jakaś myśl oświecająca ludzkość przez wieki zasypia na zawsze w ponurym sarkofagu nicości — co dzień powstają nowe idee, a prawda otulona w mistyczną zasłonę zdziera ją gwałtownie z siebie. Społeczeństwa przychodzić zaczynają do samowiedzy i szukać innych podstaw bytu niż dotychczas, czując, że podwaliny dotychczasowego ustroju społecznego są już zbutwiałe, że należy je poprawić, a może z gruntu przebudować; nauka zrywa stanowczo z transcedentalizmem przeszłości i zaczyna stawiać pewne kroki po nowej przedtem zaledwie przez niewielu dotkniętej drodze doświadczenia. Wszędzie widoczny przełom: czują to wszyscy, choć mało jest takich, którzy sobie z tego sprawę zdać usiłują. Tak jak rzeka płynie po równinie powoli, aż natrafi na gwałtowny spad, a wtenczas całym swym kryształowym ciężarem spada, wyżłabia koryto do niezmiernej głębokości, a potem przez jakiś czas szybciej pędzi, niż wprzódy, tak samo i duch ludzki przez wieki postępuje spokojnie, monotonnie, ale od czasu do czasu zrywa się gwałtownie, i w jednej chwili przebiega przestrzeń, do której przebycia w zwykłym stanie rzeczy potrzebaby było całych stuleci. Do takiego szybkiego biegu wystarcza jedno silne wstrząśnienie. Takie wstrząśnienie nastąpiło w ostatnich czasach, a oddawna już było przygotowane: genjalny Karol Darwin uderzył w zastałą falę umysłowości ludzkiej niby piorunem swoją teorją o powstawaniu rodzajów i nastąpił wodospad ducha ludzkiego. Darwin jest motorem teraźniejszego ruchu umysłowego, a jako taki bez względu na to, czy jego teorja jest prawdziwą, lub nie, pozostanie na zawsze jednym z największych mężów ludzkości. Teorja jego wstrząsła posady społeczeństw tak samo jak wystąpienie Lutra z swemi tezami, lub ogłoszenie praw człowieka za wielkiej Rewolucji francuskiej, a wielką jej doniosłość dla wszystkich nauk, tylko z odkryciem systematu słonecznego Kopernika porównać można, którego, jak to zaraz wykażemy, jest ona niejako dalszym ciągiem.

Wszystkim wiadomo, że przez długie wieki, aż do nieśmiertelnego Kopernika, ziemia była uważaną za stały punkt środkowy wszech-świata, więcej jeszcze—za świat sam, czego najlepiej dowodzi lingwistyka*). Ziemia nieruchoma, a całe niebo z miljardami planet to kryształowa czara nakrywająca siedlisko człowieka. Tak sobie wyobrażano świat w starożytności i średnich wiekach. Wprawdzie niektórzy starożytni uczeni jak Filolaus, Pitagoras, Archimedes mieli niepewne wyobrażenie o kulistości ziemi. Arabowie w średnich wiekach już używali w wybornych swoich szkołach globusów**), mimo to jednak nie wznieśli się do prawdziwego pojęcia budowy wszechświata. Dopiero nieśmiertelny nasz rodak Kopernik swem dziełem „De revolutionibus“ wydanem r. 1536 wywrócił dotychczasowe pojęcia o ziemi i świecie i zamiast systematu *geocentrycznego* (w którym ziemia jest uważana za środek świata) postawił nowy system, *heljocentryczny*, w którym słońce jest punktem środkowym naszego systemu planetarnego*). Teorja jego wydoskonalona przez Galileusza i ulepszona przez Kepplera, długo walczyła, zanim została powszechnie uznaną; w końcu jednak mimo oporu klerykalizmu, który w niej widział doktrynę sprzeczną z Pismem św. zdołała sobie wywalczyć panowanie. System Kopernika zmieniający dotychczasowe pojęcia o ziemi i świecie logicznie musiał doprowadzić do odmiennego zapatrywania się na stanowisko człowieka w wszechświecie. Dopokąd ziemia była uważaną za środkowy punkt świata, dotąd i człowiek, pan tej ziemi był najszlachetniejszą istotą w wszechświecie, jedyną, którą się stwórca zajmuje z największą troskliwością. Świat był stworzony dla człowieka. Teorja geocentryczna była matką teorji antropocentrycznej uważającej człowieka za punkt środkowy świata. Wszystkie religje mniej więcej przyjmowały teorję antropocentryczną i to nam tłumaczy, dlaczego fanatycy katoliccy umieścili dzieło Kopernika na indeksie „Librorum prohibitorum,“ a Galileusza do śmierci, a nawet i po skonie jeszcze prześladowali**). Kopernik przeznaczając ziemi prawdziwe jej stanowisko satelity słońca, zadał tem samem, może mimowoli, śmiertelny cios teorji antropocentrycznej. Skoro ziemia jest tylko podrzędnym planetą i co do objętości w porównaniu z nieskończonym ogromem światów nie jest niczem innem, jak tylko lichym pyłkiem, śmiesznemby było uważać człowieka, który znowu wobec ziemi jest czemś mikroskopijnie małem, za jedyną istotę, którą się ma Bóg z szczególną predylekcją zajmować. Logiczny ten wniosek strąca człowieka z pysznego, uzurpatorskim sposobem dotychczas zajmowanego stanowiska, i naznacza mu podrzędniejsze, nie mniej jednak zaszczytne miejsce najdoskonalszego tworu na ziemi. Upadek teorji antropocentrycznej (której nawiasowo mówiąc niewykształceni ludzie dotychczas jeszcze hołdują) otworzył nauce nowe pole do zastanawiania się, czem jest właściwie człowiek, skoro nie jest środkowym punktem wszechświata: czy jest istotą izolowaną, związaną tylko chwilowo, przypadkowo z otaczającą go naturą, czy też przeciwnie jest tylko jej cząstką, czy jest panem ziemi przez urodzenie, czy też przeciwnie uzyskał nad nią panowanie tylko przez pracę i zasługę. Pytania te nader drażliwe z powodu, że musiały doprowadzić do walki z potężnym zawsze klerykalizmem, omijano lub zbywano ogólnikowo, choć wszyscy myśliciele dobrze wiedzieli, że są one najważniejszemi, o których rozwiązanie duch człowieka pokusić się może. Filozofowie ośmnastego wieku, a szczególniej francuscy encyklopedyści rozpoczęli walkę obracającą się około tych pytań, wkrótce jednak ucichła ona pod przytłaczającym naciskiem niemieckiej filozofji spekulatywnej. Popisano stosy dzieł, a kwestja ciągle

---

*) W naszym języku często zamiast wyrazu „ziemia“ używa się wyrazu „świat.“ Mówi się np. „chodził po całym świecie,“ „chodził światami.“ W ten sam sposób używają Niemcy wyrazu „die Welt.“ Wiele także daje do myślenia, że prawie wszystkie ludy indo-europejskie używają tego wyrazu na oznaczenie mnogości ludzi. Mówi się „świat go zna,“ „tout le monde le connait,“ „die ganze Welt kennt ihn.“ „All the world knows'it“ itd. Dowodzi to, jak się zżyła z ludzkością teorja autropocentryczna, uważająca człowieka za punkt środkowy wszechświata, skoro „świat“ a „ludzie“ stało się w niektórych frazesach wyrażeniem indentycznem.

**) Al Idrisi zrobił globus srebrny dla Rożera II Sycylijskiego, a Gerbert (późniejszy papież Sylwester II) używał w założonej przez siebie szkole w Rheims globusu, który przywiózł z arabskiej Korduby, gdzie uczęszczał na uniwersytet.

(Draper T. II. str. 37.)

*) Słowa „geocentryczny“ i „helionotryczny“ składają się z greckich słów „ge“ (ziemia) i „helios“ (słońce) i z łacińskiego wyrazu „centrum“ (środek.)

**) Galileusza więziła inkwizycja aż do jego skonu w mieście Arczetra, przed śmiercią nie dozwolono mu zrobić testamentu, a zwłokom jego odmówiono pogrzebu w ziemi święconej.

stała na jednym i tym samym punkcie nie tylko nie posuwając się, ale nawet nie przygotowując drogi do rozwiązania. Dopiero Darwin skorzystawszy z dzieł swoich poprzedników, mianowicie Lamarcka i Geofroy St. Hilaire'a, podniósł ją na nowo i to w sposób tak oryginalny, że wywołał niepraktykowany dotychczas ruch umysłowy. Rozciął on zawiłą kwestję śmiałą hipotezą, o powstawaniu gatunków, której konkluzją jest, że człowiek jest tylko ostatniem ogniwem ziemskich jestestw organicznych, z których powstał przez powolne przeradzanie się gatunków, że więc nie jest niczem innem, jak tylko cząstką natury. Hipoteza ta, która dotychczas jeszcze nie jest naukowo udowodnioną i w rzędzie przeciwników liczy wielu najznakomitszych naturalistów np. Quatrefagesa, Agassiza i innych, utworzyła w przeciągu krótkiego czasu szkołę nowoczesnych materjalistów, usiłujących przenieść wyniki hipotezy Darwina, na pole wszystkich nauk, i wywołała z drugiej strony zaciętą opozycję. Skutkiem tej walki jest nowy prąd objawiający się we wszystkich umiejętnościach, mianowicie pozytywnego badania, a zarazem uogólniania. Teorja Darwina sprawiła, że wszystkie umiejętności łączą się obecnie i wspierają wzajemnie. Już to samo jest olbrzymią jej zasługą. Widzieliśmy jaki związek łączy system Kopernika z teorją Darwina; sformułujemy go w ten sposób: *Kopernik zniszczył teorję geocentryczną i zachwiał system antropocentryczny — Darwin zaś podkopał do reszty ów ostatni.* (C. d. n.)

Wystawa sztuk pięknych w Paryżu

w roku 1876.

Paryż — Czerwiec 1876.

Czy wystawa sztuk pięknych taka, jaką tu otwarto przed miesiącem, jest tylko bazarem ułatwiającym artystom wyprzedaż ich dorocznych produkcyj? Czy też wyższe i donioślejsze ma cele? A może jest ona tylko uroczystym przeglądem wszystkiego, co zdziałały malarstwo i rzeźba, aby wykazać światu nowe w sztuce prądy i kierunki? Jeśli w tym ostatnim przyjmiemy ją sensie, to widzieć nam się będzie, że wystawa powtarza się za często, bo dwunastu miesięcy nie dość, by sztuka mogła w ich przeciągu zamanifestować się jakimś dobitnym krokiem wstecz albo naprzód. Pospiech w robocie może być zdaniem naszem jedynym namacalnym skutkiem tych ciągłych popisów. Taki artysta młody, ambitny, żądny reklamy i wziętości, w obawie by świat o nim nie zapomniał, by nie odwykł od wymawiania jego nazwiska, często gęsto niewytrawne i na prędce wykonane dzieło stawi przed areopagiem publicznym. „Odbiję się w roku przyszłym" pociesza się w razie absolutnej przegranej. Ztąd powódź „bohomazów" (*Croûtes* po francusku) wzbiera a wzbiera bez ustanku, rzadkie tylko dzieła pracy wytrawniejszej unosząc na bezbarwnej swojej topieli. Ztąd nierzadko imię podpisane malarza jednego roku pod bardzo łagodnym i bardzo dużo obiecującym obrazkiem, roku następnego zjawia się pod lichą i nic wartą bazgraniną. Zawodów takich bez liku. Bez liku reputacyj uznanych, w katalogu „Wystawy" zaszczytną „H. C." (*Hors Concours*) opatrzonych wzmianką, których dzisiejsze prace, po Bogu a prawdzie, zasługiwałyby chyba na podobną wzmiankę w sposób odwrotny, to jest ujemny. Przeciwnie prace tych artystów, którzy przygotowawczym jak widać oddając się studjom, na dwóch i trzech poprzednich Wystawach w cale nie figurowali, względną przynajmniej odznaczają się poprawnością. Bądź co bądź improwizacja może mieć wielkie zalety, może gdy jest talent, świetne takowego wykazać znamiona, ale mimo to trwałych dzieł sztuki wytworzyć nie zdoła. Te ostatnie mogą być tylko rezultatem czasu, jak się mówi „przysiedzenia fałdów" pracy usilnej i sumiennej. Otóż, wracając do słów powyższych, te tak często powtarzające się popisy, jeśli naturę ludzką w ogóle a naturę Francuzów w szczególe, mieć będziemy na względzie, do pracy mozolnej zgoła nie zachęcają, a przeciwnie stają się pobudką do prędkich, lekkich i błyszczących improwizacyj.

W ogóle administracja rządowa we Francji zanadto opiekuje się sztuką. Kto wie gdyby chciała zastosować do niej ową sławną sentencję „*laissez faire laissez passer*" kto wie czy wtedy sztuka nie wydałaby tu plonu piękniejszego. Gdzieindziej, w krajach kędy sztuka nie rodzinną, nie domorosłą, lecz przesadzoną, i egzotyczną jest rośliną, tam na nią chuchać, tam ją pielęgnować potrzeba, bo nie wybuja inaczej. Ale we Francji, gdzie się już ona przyjęła na dobre, we Francji zbyteczna jej uprawa, zbyteczne użyźnianie poddanego pod nią gruntu, może się wzręcz przeciwnym zrealizować rezultatem. A nie myślcie, bym mówiąc to, bawił się jakiemiś paradoksami, bym jakieś oryginalne prawił wam aforyzmy. Niejeden głos nader upoważniony w artystycznej publicystyce tutejszej, mniej więcej podobne wypowiedział zdanie, a ja jestem tutaj tylko ich tłumaczem. W samej rzeczy, jeżeli zliczymy z jednej strony wszystkie usiłowania protekcyjne rządu dla sztuki jako to: konkursa, wystawy, nagrody Rzymskie (*Prix de Rome*) i t. d. a zdrugiej strony wszystkie wyniesione z nich plony, to ujrzymy, że suma ostatnich sumie pierwszych wcale nie odpowiada. Smutnie zawzwyczaj na wszelkich wystawach wygląda grono patentowanych wychowanków szkoły rzymskiej i innych tego rodzaju wysoce protegowanych instytucyj, i jeśli kiedy zabłyśnie gdzie prawdziwy, samoistny talent, to pewno nie w ich stronie. Dość zresztą zajrzeć do biografji prawie wszystkich słynniejszych tak zmarłych jak żyjących artystów, by się przekonać, jak szczupłym kontyngensem wzmiankowane instytucje figurują w ich kole. Czemuż by więc nie zaniechać jałowych trudów? Czemuż by więc nie sprobować innego systematu? Systematu ściślej neutralności, któryby polegał na trzymaniu się biernem względem sztuki, nieprzeszkadzając broń Boże jej rozwojowi! Można jej nawet pomagać gdy trzeba, ale w miarę, i nie gwałtem jak dotychczas.

Wystawa tegoroczna bynajmniej nie gorsza od przeszłorocznej, ale też i nie lepsza. Ten sam na niej procent rzeczy dobrych, ten sam miernych, ten sam nakoniec złych zupełnie. Przybyło nieznanych nazwisk parę — ubyło dobrze zasłużonych kilka — przemieniły się role. Wielu zasługujących na pochwałę wówczas, dziś na surową zasługują naganę; kilku zaś z tych, którym się ta ostatnia słusznie należała, zarobić na pierwszą postarali się chwalebnie. Najmniej zaś takich, którzyby dotrwali na raz zdobytem stanowisku.

I jeśli już uprzemy się koniecznie, w wystawie tegorocznej szukać cechy jakiejś specjalnej, to cechę tę znajdziemy chyba w coraz to wzrastającej liczbie tak zwanych „wrażeniowców" (*Les impressionalistes*) — przepraszamy za tak wolne tłumaczenie... Jakkolwiek powyższe wyrażenie dość ściśle określa to, co powiedzieć pragnie, bez pewnych nie obejdzie się komentarzy.

Zapatrywać się na naturę nie ze stałego punktu widzenia rzeczy, lecz ze stanowiska osobistego, częstokroć chorobliwego widzi-mi-się, i kopjować nie ściśle, niezmienne jej kontury, ale tylko chwilowe, przemijające, zależne od tysiąca okoliczności i „wrażenia," stało się zasadą całej szkoły artystów, malarzy, zwłaszcza pejzażystów. Na czele jej stał niedawno nieodżałowany Corot. Ale podczas gdy boski talent jego nieporównanym swoim wdziękiem zasłaniał wszystkie usterki podobnej zasady, wykazując tylko piękną, poetyczną jej stronę, to u naśladowców jego rzecz się ma wręcz inaczej. Nie każdemu bowiem danem jest być takim Corot. Nie każdemu danem jest przyjmować od natury, acz kolwiek mgliste ale pełne poezji „wrażenia." Popatrzcie na adeptów jego, a włosy wam staną na głowie. Oto pejzaż: Według katalogu przedstawia on wnętrze lasu, ale oko widza nie dostrzega na nim nic prócz jakichś plam szaro-zielonych, ciemniejszych, lub jaśniejszych miejscami, a jak gdyby przypadkiem rozwiedzionych pędzlem po płótnie. Lecz ani się ważcie krytykować artysty, co podobnego stworzył cudaka. Takiem bowiem było jego „wrażenie." Tyle oko jego dojrzało z chylących się pod wiatrem zarośli boru. Czy widzicie, jak daleko jest w stanie zaprowadzić nadużycie podobnej zasady? Nie masz może rzeczy, którąby dwom osobom jednego i tegoż samego udzieliła „wrażenia." To ostatnie, jakeśmy rzekli, zależy od tysiąca i jednej okoliczności, od fantasmagorji wzroku, od fizycznego usposobienia patrzących. Nie pierwszy to raz się zdarza, że wielki sam przez się artysta, wytwarza szkołę zgubną a przynajmniej szkodliwą dla sztuki. Powiedziećby można, iż w piśmiennictwie, w poezji francuskiej, podobną, choć w innym kierunku rolę odegrał Teofil Gautier. On to władnący językiem, jak nikt z współczesnych, wprowadził modę ugania się za oryginalnemi rymami, za kwiecistością osłowień i wytępił do reszty w poezji francuskiej naszych czasów i tak już niezbyt swojską jej prostotę. A uczniowie przesadzać zwykli, i to co u mistrza jest jeszcze wdziękiem, u nich już zakrawa na karykaturę. Corot był takim pełnym talentu, ale w sumie szkodliwym reformatorem malarstwa krajobrazowego. Powiadam malarstwa krajobrazowego, bo dotychczas uleganie tym zasadom spotykało się wyłącznie u pejzażystów. Aż oto ostatnie wystawy już i parę portretów i kilka rodzajowych obrazków tym trybem malowanych, na dziennie wywodzą światło. „Wrażenie" oblicza ludzkiego! „Wrażenie" tych lub owych na niem uczuć! Jak to musi wyglądać, łatwo sobie wyobrazicie. Co malowidło przedstawia, zgadywać nieraz musi patrzący, na którym oddany przedmiot inne niż na artyście wywarłby może „wrażenie." Niedość było zielonych niebios i karminowych liści na drzewach, mamy teraz i kanarkowe twarze i fjoletowe ciała nagich kobiet. Lecz niczemu temu dziwić się nie należy. Wszystko to są bowiem „wrażenia" a sędzią tych ostatnich może być tylko ten, co ich doznał, —artysta; odpowiadać zaś za nie może tylko ta, co ich udzieliła —natura. Na jej karb wszystko złożyć można: i dziwactwo fantazji i fałsz spostrzeżeń, i błędy nawet rysunku. Nic dziwnego zatem, że teorja tak wygodna i bezkarność zapewniająca, coraz więcej liczy wyznawców. Zdziwilibyśmy się, gdyby było inaczej.

Wszelką możliwą zbrojąc się wyrozumiałością, wmawiając w siebie, że zacofane dziecię ubiegłych czasów, na kompetentnego sędziego tak postępowych prądów żadnej nie mamy kwalifikacji, z mimowolnym wszelakoż smutkiem spoglądamy w przyszłość, jaką powyższa szkoła, w razie utrzymania się, zgotowałaby dla sztuki a przynajmniej dla tego, co ludzkość dotychczas tem wysokiem określała mianem. Wywrócenie stałych zasad, obezwładnienie, ba, uniemożebnienie absolutne krytyki, taki byłby pierwszy, nieuniknony skutek jej tryumfu. A jeśli który z kunsztów potrzebuje tych stałych pryncypjów, to rzeźba, to sztuka malarska. Poezja bowiem a muzyka wykraczają często po za granice widomego w sfery abstrakcji, gdzie ich ze skalą zmysłów naszych czasem gonić nie możemy; ale malarstwo, ale rzeźba w granicach tych zostają i zostać muszą wiecznie, dopóki trwa ich model niezmienny, natura. Ta ostatnia nie zmienia się, a przyczyna różnicy odbieranych od niej wrażeń leży nie w niej, lecz w nas samych, w tem, że się na nią źle patrzymy, lub że do poglądu nie szukamy właściwego stanowiska. Mistrze, którzy takowe znaleźli, są nieśmiertelni i nikt nie prześcignął Fidjasza, chociaż od zgonu jego tyle po nad światem przemknęło stuleci. Byłożby to podobnem, gdyby on miast stałych zarysów, tylko przemijające przyrody kopjował wrażenia? Byliżbyśmy w stanie zrozumieć, odczuć dziś takowe? Tyleż, co do innych mistrzów, których sławy ani czas, ani zmienność ludzkich przywidzeń pokonać nie zdołały. Absolutnie przytem twierdzić można, iż zasada, której względnie dobre zastosowanie jest uwarunkowane tak wyjątkowemi usposobieniami, jak naprzykład poetyczny wdzięk Corota, jest gruntem bardzo chwiejnym i na nim nic trwałego nie można zbudować. Gdyby kto naprzykład w poezji naszej wziął sobie za zasadę używanie tych naiwnych wykrzykników i orzeczeń („Cyt!" „Cyt!" „Drum!" „Drum!" itd.) których pełno w prześlicznych dumkach Bohdana Zaleskiego, jakby to wyglądało? Odpowiedź łatwa. To co w wspomnianym śpiewaku jako właściwość, jako miejscowy, że tak się wyrażę, koloryt liry jego podoba nam się i nas bawi, to u naśladowcy jego pewnieby nam nie przy-

padło do smaku. Naśladowanemi, za zasadę przyjmowanemi, mogą być tylko absolutne linje absolutnego dobra, absolutnego piękna, absolutnej prawdy, ale nie te igraszki fantazji, kaprysu, w jakie je wplata tego lub owego artysty osobiste usposobienie. Mamy nadzieję, że większość czytających zgodzi się z nami w tym względzie, i że podjęta kwestja do pewnej mniej więcej doprowadzona konkluzji, od dalszych uwolni nas debatów. (C. d. n.)

Wystawa powszechna w Filadelfji.

II.

(Dokończenie).

Największy krok w postępie zrobiła Ameryka między 1820 a 1840 rokiem. Henryk Burden wynajduje maszynę do robienia podków końskich. Zaraz potem następuje inny jego wynalazek, maszyna do robienia wielkich goździ, i cały szereg innych, które go uczyniły jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce. Wynajduje maszynę do ćwieków o głowie zakrzywionej, używanych do przymocowania szyn kolejowych na progach drewnianych, maszynę do walcowania żelaza i nareszcie nową maszynę do robienia podków, prawdziwe cudo mechaniczne. Samodziałająca maszyna wyrabia jedną podkowę na sekundę.

Jordan L. Mott poświęca swą całą pracę, całe życie na wynalezienie najkorzystniejszych sposobów użytkowania węgli kamiennych. Dotąd używano w celach domowych tylko węgli w dużych kawałach; Mott buduje piece w których doskonale miałem palić można. Syn jego odziedziczał po nim fabrykę i prowadzi ją do chwili obecnej. W 1823 Mikołaj Longworth z Cincinnati robi próby dobywania win z Catawby i innych gron miejscowych. Od tego czasu datują sławne amerykańskie wina Catawba. Józef Saxton wynajduje maszynę do nadawania kołom zębatym epicykloidalnego zazębienia, i wyrabia nowego rodzaju zegary astronomiczne. W r. 1829 wynajduje w Londynie, gdzie się przeniósł, machinę elektro-magnetyczną, termometr do mierzenia temperatur w znacznych głębokościach, machinę do dzielenia, prasę hydrauliczną do drukowania i wiele innych.

W r. 1824 powstaje instytut Franklina. Pratt buduje swą znakomitą garbarnię w Prattsville, w której jak powiadają wygarbowano więcej skór aniżeli w jakiejkolwiek innej fabryce na świecie. W 1825 kończą się roboty przy budowie kanału łączącego rzekę Hudson z jeziorem Erie.

W 1826 pokazują się pierwsze ślady telegrafu elektrycznego. Dyer zaprowadza na milowej przestrzeni drut telegraficzny i przesyła znaki za pomocą iskry elektrycznej tarciem wydobywanej. Redfield podaje prawa burz, powiadające że burze są olbrzymiemi wirami wiatrów poruszającemi się po krzywych liniach, i daje tym sposobem początek teorji cyklonów. Odkrycie to jest wielkiej doniosłości dla marynarzy, bo opierając się na niem mogą się dowiedzieć o zbliżającej się burzy i uniknąć niebezpieczeństwa. W r. 1828 Bogardus ulepsza machinę do przędzenia bawełny i następnie oddaje światu cały szereg wynalazków na użytek.

Powszechnie są znane odkrycia profesora Józefa Henry na polu fizyki doświadczalnej, szczególniej elektryczności. On pierwszy zdołał wywołać z odległości magnetyzm w żelazie, okręcając je długim przewodnikiem elektryczności, i pierwszy zbudował maszynę poruszaną za pomocą elektryczności. W r. 1829 wystawia elektro-magnesy o sile dotąd niesłychanej, i podaje teorję telegrafów, chociaż jej w praktyce nie zastosowuje. Dalszy ciąg wynalazków prof. Henry prowadzi Dr. Page. Buduje lokomotywę elektryczną, która porusza ciężki wóz obładowany pasażerami i robi bardzo wiele znakomitych odkryć w dziedzinie elektryczności.

W jesieni 1832 Samuel Morse malarz z profesji wyjeżdża z Hawru do Ameryki. Na pokładzie wszczyna się pomiędzy nim a pewnym podróżnym rozmowa o najnowszych odkryciach stosunku elektryczności do magnetyzmu. Wpada mu w tej chwili myśl do głowy zastosowania tych odkryć do telegrafów i wymyśla na pokładzie telegraf, który w głównej części aż do naszych czasów został w praktyce zachowany. Przed końcem roku aparat już był gotowy, lecz pierwszy raz był okazany publicznie dopiero w r. 1835. Od tego czasu do dnia dzisiejszego wynalazek Morsa objął całą kulę ziemską.

W r. 1832 Dr. Guthrie wynajduje chloroform. W latach następnych wynalazki i ulepszenia machin następują bez przerwy jedne po drugich. Ulepszają machiny parowe, lokomotywy. Hussey buduje pierwszą praktyczną żniwiarkę, Howe wynajduje machinę do wyrabiania szpilek. W r. 1834 Olmsted wykazuje związek między meteorami a mgławicami wciągniętemi do naszego układu słonecznego. Draper następnie bada pochłanianie promieni chemicznych przez stałe i płynne ciała, fotografuje i stara się wykazać związek między liniami Frauenhofera a składem ciał na słońcu. Pierwszy znajduje przyczyny poruszania się soków w roślinach i pokazuje działanie światła różnobarwnego. Żaden amerykański uczony nie przyczynił się tyle do postępu nauki w Ameryce, co Draper.

W r. 1836 pułkownik Colt wynajduje rewolwery. Niedługo potem Ericsson zastosowuje śrubę do poruszania okrętów, a Goodyear znajduje sposób wulkanizowania kauczuku za pomocą siarki i nadawania mu przez to twardości i wytrzymałości.

Perjod w historji postępu amerykańskiego od r. 1820 do 1840 jest najważniejszy bo w nim były zrobione najgłówniejsze typowe wynalazki. Od roku 1840 aż do naszych czasów postęp był także olbrzymi, lecz był jedynie prawie rozwinięciem, rozgałęzieniem tego co poprzednio uczyniono. Oryginalnych a prawdziwych myśli, genjalnych odkryć znajdujemy mniej bez porównania. Z odkryć typowych poprzedniego perjodu wypłynęły tysiące innych, za któremi już z osobna śledzić nie możemy, i trzeba tylko, bioręc każdą gałęź nauki uważać je z osobna. Do roku 1840 wydano w Ameryce 11.614 patentów, a od tego roku do chwili obecnej 166.000! Liczby te wymownie przemawiają i pokazują jak trudno by było śledzić chronologicznie za wynalazkami.

Najwięcej zrobiono na polu budowy machin. Sickels, Corliss i Stevens odznaczyli się w tej dziedzinie i imiona ich są powszechnie znane. Jednym z ludzi najbardziej wynalazczych tej epoki do chwili obecnie trwającej, jest sławny Ericsson, o którym już wspomnieliśmy mówiąc o śrubach okrętowych. Trzeba by było zapisać arkusz cały żeby wyliczyć jego wynalazki, dosyć przypomnieć machinę kaloryczną, wieżę z armatami obracająca się na okrętach wojennych, sławne w ostatnich czasach torpedy i machiny słoneczne.

Poczynając od r. 1851 wydano w Ameryce na żniwiarki 3000 patentów. Któż ich u nas nawet nie zna; imona Adamsa, Buckeya, Dorseya i innych są i między naszemi rolnikami popularne, — prasy drukarskie amerykańskie były zawsze najlepsze. Maszyna Bullocka wytłacza 6 do 8 tysięcy arkuszy na godzinę. Prasa ulepszona przez Hoe'go wytłacza w tymże czasie 15.000. — W r. 1854 Dixon pierwszy zastosował dwuchromian potasu do fotolitografji do przenoszenia fotografji na kamień litograficzny. Od tego czasu ta gałęź przemysłu ogromnie się rozwinęła, i dziś bardzo wiele książek naukowych wychodzi z takiemi fotolitograficznemi zdjęciami z natury. Pułkownik Woodbury wykonywał fotografje nadzwyczaj jasne i piękne z przedmiotów mikroskopowych. Rutherfurd zdejmował prześliczne fotografje widma słonecznego pokazujące 2500 prążków wyraźnie odgraniczonych; jego fotografje zdjęte bezpośrednio ze słońca i z księżyca są jedne z najlepszych. Jemu też należy się uznanie za zasługę wprowadzenie fotografji po obszerniejszego zastosowania w astronomji fizycznej.

Pierwsza maszyna do sztucznego wyrabiania lodu przez ulatnianie się płynów bardzo lotnych była wynaleziona przez profesora Twinning w r. 1850. Płyn, którego używał był zwykły eter tak zwany siarczany. Jednym z najważniejszych może wynalazków na polu chemji i medycyny było odkrycie przez Dr. Mortona w r. 1849 anestetycznych, znieczulających własności chloroformu.

Wojna sprowadziła tysiączne wynalazki broni. Można powiedzieć, że z wyjątkiem iglicówek wszystkie inne typy zostały w Ameryce wynalezione. Z broni polnej mniejszej, zasługują na uwagę wyrabiane przez Remingtona, Colta, Sharpa, Whitneya, Spencera, Maynarda, Allena i Berdana. Przy ich pomocy można wyrzucić 30 kul na minutę. W 1845 jenerał Rodman wynajduje sposób odlewania dział polegający na tem, że serce około którego oblewa się ciało armaty jest wewnątrz puste i wprowadza się weń strumień zimnej wody, tak że metal przy ochładzaniu oziębia się od wewnątrz. Sławnym jest sposób robienia dział admirała Dahlgrena które noszą jego nazwisko. Żeby armata przy oziębianiu się nie skurczyła, więc się ją odlewa znacznie grubszą niż potrzeba i dopiero potem odejmuje się części niepotrzebne na tokarni. Straszną bronią jest działo Gatlinga wyrzucające 400 kartaczy na minutę; w tem dziale prędkość strzelania zależy jedynie od prędkości z jaką się windę porusza. Lecz bezwątpienia najstraszniejszą bronią jest armata mechaniczna Hotchkissa, z której na minutę 16 bomb na odległość trzech mil angielskich wylatuje. Tegoż samego wynalazcy karabiny i zwykłe armaty zdobywają sobie coraz większą sławę.

Eliasz Howe i Walter Hunt niezależnie od siebie wynajdują maszyny do szycia. U Howego przez materję do szycia przebija się igła z uszkiem na końcu, i formuje z drugiej strony pętlicę przez które przechodzi czółenko z drugą nitką. Urządzenie to jest powszechnie znane. Po Howem 2.000 patentów zostały wydane na maszyny do szycia. Największą sławę zyskały maszyny Wilsona dobrze i u nas znane.

Według zdania Knighta, jednej z największych powag mechanicznych w Ameryce, najwięcej zwrócono tam uwagę na ulepszenie żniwiarek, broni odtylcowej i maszyn do szycia. Każdy z tych wynalazków ma tysiące patentów i każdy powstał w ostatnich latach czterdziestu.

W tych ostatnich latach na polu telegrafji porobiono także znakomite ulepszenia. House wynalazł przyrząd odbijający depesze odrazu łacińskiemi czcionkami a nie piszący kreskami i punkcikami jak u Morsa. Hughes wprowadza tutaj znaczne ulepszenia, Phelps kombinując przyrządy House'a i Hughesa tworzy przyrząd telegraficzny niemający dotąd równego. Cyrus Field przeprowadza linę telegraficzną przez Atlantyk. Stearn pierwszy rozwiązuje praktycznie zadanie żądające jednoczesnego przesyłania dwóch depesz po jednym drucie. Farmer, Edison, Gray i Bell doprowadzają ten wynalazek do tego, że można po jednym drucie przesyłać nieograniczoną ich liczbę.

W dziedzinie kolei żelaznych najważniejszym może wynalazkiem jest hamulec powietrzny Westinghousa, który zastosował ściśnione powietrze do przyciskania hamulca; cały system hamulców jednego pociągu jest pod kierownictwem maszynisty. Dla wygody podróżników zrobiono także bardzo wiele; sławne są wagony salonowe Pullmana, prawdziwe hotele na kołach, z restauracjami, sypialniami, bibliotekami itp., przewożące najwygodniej podróżnych z brzegów Atlantyku na wybrzeża Oceanu spokojnego.

Trudno byłoby wyliczyć odkrycia uczonych astronomów amerykańskich. Imiona takie jak Walker Newcomb, Young same za siebie przemawiają. Kolej łącząca Kalifornię z wybrzezem Atlantyku, tunel Hoosac, największy most na świecie na East-river między New-Yorkiem a Brooklynem, i wiele innych robót inżynierskich przekonywują, że amerykańscy inżynierowie są jedni z najlepszych na świecie.

Z garstki kolonistów walczącej o niepodległość stał się dziś wolny naród czterdziesto miljonowy. Było to dziełem krótkich stu lat ostatnich. Nie ma w historji przykładu, któryby w sposób jaskrawy wystawiał moc i wielkość urządzeń republikańskich społeczeństwa. Nie przez rzezie i mordy zdobyto tę potęgę, lecz przez pracę pokojową, przez rozwój geniuszu narodowego. Armję zdobywczą amerykańską składali i składają wynalazcy a nie żołnierze i im to jedynie zawdzięczają Amerykanie swą potęgę i sławę; wynalazca postawił ich na nogi po pierwszej wojnie morderczej; wskazał im sposób zużytkowania bogactw kraju, w ciężkich chwilach zamienił swe warstaty na fabryki broni. To też stuletnią rocznicę niepodległości swej, postanowiła Ameryka uczcić wypowiedzeniem światu walki nie na miecze i nie na pióra, lecz na młoty, piły, dłuta, parę, i nie wątpimy, że z tej walki wyjdzie zwycięsko.

Rzuciwszy okiem na rozwój przemysłu amerykańskiego, łatwiej nam będzie teraz przypatrzeć się wystawie i ocenić jej całą doniosłość.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Leon Potocki. Urywek ze wspomnień pierwszej mojej młodości. Poznań — 1876. — Nakładem księgarni Żupańskiego.

Autor tych pamiętników urodzony w pierwszej połowie 1799 r. zbierał jak sam powiada, dla zabawy i pożytku dzieci swoich nietylko wydarzenia obecne, ale to co sobie przypomniał, co zasłyszał od starszych od siebie lub co z wiarygodnego wyczytał źródła. I tak „dodając miarkę do miarki spichrz się zapełnił.“ Zachęcony przyjęciem, jakiego doznał w roku zeszłym urywek z tych pamiętników, skłonił się do ogłoszenia obecnego dzieła. Pamiętniki te stanowią ważny przyczynek do historji naszej z ostatnich lat 18 w. i z początku 19 w. W rozdziale pierwszym znajdujemy wiele nowych szczegółów odnoszących się do ówczesnego stanu kraju. Autor opisuje Tulczyn i Puławy. Podczas gdy w Tulczynie marnowano czas na odurzających i płonnych zabawach a pieniądze przy zielonych stolikach, mówi autor pamiętnika, w Puławach każda zabawa nawet miała cel, w każdej rozrywce była myśl, do każdego uczynku był powód, młodzież nasza pod przewodnictwem światłych nauczycieli pobierała nauki w Puławach, a przy gruntownych wiadomościach nabierała tego poloru światowego, opartego na uprzejmej grzeczności, którą się człowiek wykształcony wyróżnia. Kreśląc stan Polski przy końcu 18 w. o Stanisławie Poniatowskim mówi w następujący sposób: „Młody przystojny, bezczynny, miłością kobiety wyniesiony na tron z koroną z róż uwitą, długo się poił ich wonią, ale gdy przeciwne wiatry kwiaty rozwiały, zostały tylko kolce, cierniowa korona. Charakteru niestałego, lekkomyślnego zalotnego, można powiedzieć, że był francuskiego Ludwika XV wyobrazicielem na polskim tronie. Za jego panowania zepsucie obyczajów do tego stopnia doszło, że w wyższych sferach towarzystwa nie było kobiety zamężnej, któraby nie miała kochanka, i nie szczyciła się nim; nie było męża, któryby przy cudzych żonach nie szukał zapomnienia o własnej. Małżeństwo było niczem więcej jak kontraktem, przy zawarciu którego starano się zawsze o niedopełnienie pewnej formalności, o uchylenie w przepisanym obrządku, aby zachować sobie furtkę do unieważnienia czyli do rozwodu. W rozdziale drugim znaleźliśmy jeszcze więcej nieznanych szczegółów odnoszących się do czasów księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego. Rzecz sama opowiedziana w sposób zwięzły, a za zasługę autorowi poczytujemy, że zbyt często nie mówi o sobie, wspominając o sobie tylko tyle, o ile tego sam przedmiot wymagał. Pamiętniki te polecamy szczególnej uwadze czytelników naszych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pani Modrzejowska pożegnawszy lwowską publiczność występem w „Niewinnych“ Wł. Okońskiego, odjechała do Filadelfji na wystawę światową. Publiczność żegnała ją oznakami najżywszej sympatji, spodziewamy się więc, że w powrocie odwidzi nas znowu, pewna jak najlepszego przyjęcia.

— Pod redakcją dr. Wisłockiego w Krakowie rozpoczął D. E. Friedlein wydawnictwo przedruków dawnej naszej literatury od „Hymnów na uroczyste święta Bogarodzicy“ Bartłomieja Zimorowicza i Erazma Glicjusza książki „O wychowaniu dzieci.“ Przedsięwzięcie to, będące niejako dalszym ciągiem i dopełnieniem „Bibljoteki polskiej“ Turowskiego, przyniesie wielką korzyść literaturze ojczystej. Z wyboru tych pierwszych dzieł widzimy, że redakcja zamierza wybrać na początek tylko same białe kruki, które nawet nie wielu naszym bibljografom znane były.

— Nakładem młodej firmy księgarskiej p. Wł. Bełzy wyszło świeżo dziełko p. Maurycego hr. Dzieduszyckiego członka akademji umiejętności, traktujące o „Samobójstwie“. Już sam tytuł i poważne imię autora, zdolne są zaciekawić publiczność, która szczególniej u nas, nie bez pewnej obawy i troski spoglądała na rozwielmożniającą się plagę samobójstwa, a w ostatnich szczególniej czasach, pomiędzy licznemi ofiarami — pochłaniała również i młodsze pokolenie. Dziełko to, z wielu względów jest bardzo na czasie — a dla jego popularnej formy, ciekawie pod względem historycznym zestawionych faktów i ślicznej edycji, wróżyć mu można niemałe powodzenie.

— Znany powszechnie numizmatyk i archeolog p. Stronczyński, zamieszkały obecnie w Piotrkowie, ukończył w tych czasach „Numizmatykę polską“ doprowadzoną do r. 1506. Znakomite to dzieło, opatrzone rysunkami i wzorami nader starannie wykonanemi, wydanem zostanie w dwu tomach. Tenże sam autor przygotował drugie dziełko pt. „Legenda obrazowa o św. Jadwidze.“ Pomieszczone w dziele tem rysunki, objaśnione tekstem, dobrze charakteryzują ubiory i zwyczaje z epoki właściwej.

— Prof. Stan. Budziński wydał ciekawe studjum „O kradzieży i pokrewnych jej przestępstwach.“

— Wyszło z pod prasy Zygmunta Librowicza studjum w listach Żyda do Chrześcjanki p. t. „Schylock.“

— Z Rzymu donoszą, że znakomity nasz rzeźbiarz p. Wiktor Brodzki ukończył już pomnik grobowy hr. Laury Przeździeckiej. Tłumy ciekawych dążą do pracowni artysty, aby to dzieło oglądać, i nie mogą dlań znaleźć dosyć pochwał. Najlepszym już dowodem że dzieło to musi być znakomitem jest to, że p. Gordani, zarządzający gabinetem ministerstwa spraw wewnętrznych, oglądnąwszy je zamówił u Brodzkiego pomnik tego samego rodzaju przyczem wyrzekł: „Zwidziwszy w ciągu kilku tygodni wiele pracowni znalazłem wszędzie niemy i zimny spokój w marmurowych posągach, w pańskich przeciwnie widzę życie pełne wyrazu.“ W tych czasach ukończył Brodzki pomnik dla księżnej Terrazy w Genui, a obecnie pracuje nad monumentem dla Tomasza Padury.

Wykopaliska.

— We wsi Kociubińcach, w powiecie Husiatyńskim, jak donosi „Dziennik Pozn.“ włościanie kopiąc ziemię natrafili na grób kamienny. Grób ten dokładnie został zbadany przez delegowanego Akad. umiejętności do poszukiwań archeologicznych pana A. H. Kirkora, oraz członka Akademji kom. arch. p. Wład. Przybyłowskiego. Jest to nader rzadki zabytek z epoki kamienia szlifowanego. Budowa grobowca zadziwia dokładnością i umiejętnością wykonania, oraz szczególniejszą troskliwością w przechowaniu drogich szczątków. Grobowiec ten z wielu względów przypomina znane Dolmeny, oraz niektóre tegoż rodzaju pomniki w Czechach odkryte. Składa się on z olbrzymich płyt kamiennych, formujących podłużny czworobok. Płyta spodnia, oraz dwie płyty boczne, z jednych kawałków wyrobione, zupełnie ocalały i dziś przechowują się przy kościele miejscowym unickim. Dwie rogowe ściany złożone były z mniejszych kamieni, nakrycie zaś czyli wieko grobu jeszcze przedtem zniszczone zostało przez włościan, wszakże domyślać się można, że było zrobione także z jednej płyty olbrzymiej. Długość grobowca wynosiła 190 centimet. szerokość 99, wysokość 79. Na płycie, przysypanej ziemią, leżały dwa szkielety, również przykryte ziemią. Przy nich znaleziono dwie siekierki krzemienne, kilka kłów dzika, ozdobę okrągłą z otworem w środku z bursztynu; na ziemi stały dwa duże garnki, a reszta grobowca była pustą aż do płyty przykrywającej grobowiec.

Gospodarstwo.

— Chrząszczyk niszczący ziemniaki, zwany w Ameryce chrząszczykiem Colorado, który przed kilkoma już miesiącami pojawił się w Skandynawji, obecnie jak donosi „Weser Ztg.“ znaleziony został na dworcu w Bremie pomiędzy worami kukurydzy, przywiezionej z Nowego Yorku, zachodzi więc obawa, ażeby straszny ten owad nie rozmnożył się w Europie. Entomolog dr. Dohrn twierdził stanowczo, że chrząszczyk Colorado nie dostanie się nigdy do Europy, ponieważ nie wytrzyma długiej podróży morskiej z Ameryki; twierdzenie to obecnie straciło wszelkie znaczenie, ponieważ znaleziony owad był żywy.

Szkolnictwo.

— Dr. Juljan Ochorowicz, docent prywatny dla psychologji i filozofji przyrody na wszechnicy lwowskiej, zatwierdzony został na tej posadzie przez ministerstwo wyznań i oświaty.

— Instytut puławski, począwszy od przyszłego roku szkolnego, będzie wydawał swój „Pamiętnik,“ tudzież „rozprawy i prace naukowe wykładających.“ Rozprzestrzeniają w tymże zakładzie laboratorja naukowe.

— Dyrekcja gimnazjum w Tarnowie ogłosiła sprawozdanie za rok szkolny 1876, w którem znajduje się przekład Sofoklesowej tragedji „Edyp w Kolonie“ dokonany gładkim wierszem przez profesora J. Czerbka. Z statystycznych dat umieszczonych w sprawozdaniu, wyjmujemy następujące: w r. 1874 uczęszczało do gimnazjum uczniów 736, egzamin dojrzałości złożyło 19 uczniów. Z tych udaje się: na wydział teologiczny 2, filozoficzny 4, prawniczy 9, lekarski 1, a na technikę 3.

— Dnia 6 czerwca br. w sali medycznej akademji Petersburgskiej, pani Rudniewa — Kassewarewa broniła publicznie rozprawy na stopień doktora medycyny. Praca jej była już drukowaną po niemiecku w „Archiv“ Virchowa. Profesorowie Karpiński, Bogdanowski i Iwanowski uznali ją za zupełnie wystarczającą. Nadanie tak wysokiego stopnia uczonego kobiecie huczne i długie wzbudziło oklaski.

Stosunki sanitarne.

— Medycyna pochwalając myśl inspektora szpitali warszawskich, urządzenia stacji zdrowotnej dla chorych piersiowych z tychże szpitali, proponuje na ten cel Mienię w pow. nowo-mińskim. U nas także krząta się około założeniu podobnej stacji Dr. Rudnicki. — Z pomiędzy wielu miejsc prawdopodobnie wybierze miasteczko Żurawno w powiecie Żydaczowskim.

— W Perskim Kurdystanie, na południe od Tabris, wybuchła zaraza.

— Goldwuod, wieś o 200 mieszkańcach, położona na linji kolei Bombay-Baroda, była widownią najstraszniejszego wybuchu cholery, jaki kiedykolwiek się pojawił. W przeciągu trzech dni zmarła więcej niż połowa mieszkańców; reszta uciekła do pobliskich wsi, gdzie ich jednakowo nie przyjęto. Zupełne zaniedbanie warunków zdrowotnych było przyczyną pojawienia się choroby. W ogóle w Indjach cholera strasznie grasuje. Z rozmaitych okolic dochodzą wiadomości o jej pojawieniu się.

Nekrologja.

† Michał Bakunin, słynny rewolucjonista rosyjski, zmarł 1 lipca b. m. w Bernie w 62 roku życia. Oto w krótkości przebieg jego żywota: Odebrawszy staranne wychowanie wstąpił do wojska i w r. 1832 został oficerem. Po wielu staraniach uzyskał paszport za granicę. Zwidził prawie wszystkie znaczniejsze kraje i podczas tej podróży pozawiązywał stosunki z partją rewolucyjną owych krajów. Wynikiem tego było dzieło p. t. „Reakcja w Niemczech“ którego ogłoszenie zagrodziło mu powrót do ojczyzny. W roku 1848 rzucił się z całym ogniem namiętnej swej duszy w war rewolucyjny. W następnym roku działał w Dreźnie, wspólnie z Niemcem Röckel'em i naszym Heltmanem. Po niefortunnym obrocie sprawy w Dreźnie, wyniósł się z rządem tymczasowym do Chemnitz, gdzie został uwięziony. Sądy saskie skazały go na śmierć. Zdołał uciec, lecz sądy znów austryjackie w Czechach, skazały go na śmierć. Nie powieszono go jednak; karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie i wkrótce, w r. 1851, okuty w kajdany, znalazł się w rękach carskich, a następnie w lochach wilgotnych Petropawłowskiej fortecy w Petersburgu. Stawiony przed sądem wojennym, bronił się szlachetnie; nie kłamał, nie wykręcał się, lecz odważnie wyznał swe zasady i cele. Nieboszczyk Mikołaj odesłał go na wieczne czasy do Syberji, lecz i ztamtąd zdołał uciec Bakunin; było to w roku 1861. Udał się do Londynu i wszedłszy w ścisłe stosunki z Herzenem, pomagał mu wydawać „Kołokół.“ Była chwila, w której Bakunin wierzył w dobry skutek intencyj cara reformatora Aleksandra II, lecz nie długa; rozczarowanie nastąpiło wkrótce. W roku 1870 brał czynny udział w ruchach uwrierów paryskich. Było to ostatnie jego wystąpienie, poczem usunął się do Szwajcarji. Bakunin był jednym z rzadkich w owych czasach, w których działał, rewolucjonistą rossyjskim, który aż do grobu zachował niekłamaną sympatję dla sprawy polskiej. Cześć jego pamięci!

† Jenerał broni Raming, jeden z najzdolniejszych dowódców armji austryjackiej, umarł w Karlsbadzie tknięty paraliżem. Zmarły był autorem dzieła o wojnie węgierskiej w r. 1848—9, w której brał czynny udział.

ROZMAITOŚCI.

— Egipt i Indje posiadają jednego z największych i najniebezpieczniejszych wężów jadowitych, mianowicie okularnika, którego pierwsi osadnicy portugalscy w Indjach nazwali cobra da capello, t. j. wąż w kapeluszu, gdyż gad ten w rozdrażnionym stanie nadyma okolice piersi tak dalece, iż wówczas trójgraniasta mała głowa jego wygląda jak gdyby pod kapeluszem. Okularnikiem nazwano go z tego powodu, że na łuskach grzbietu ma znak ciemny w kształcie leżącej ósemki podobnej do okularów. Wąż ten, dziś jeszcze w Egipcie i w Indjach dość liczny, obawiany jest tam niezmiernie dla strasznego jadu swego, który wprowadzony do krwi czy to ludzkiej czy zwierzęcej, jest bez ratunku zabójczym. To też tamtejsi kuglarze i poskramiacze węzów, którzy często na rękach noszą strasznego tego gada (4 — 5 stóp długiego) wieszają go naokoło swojego ciała, i tańczyć mu każą przy odgłosie monotonnej muzyki, są przedmiotem bałwochwalczej czci ciemnego tłumu. Na podstawie pilnych badań przekonano się już oddawna, że węże te mają nieubłaganego wroga w małem i niepokaźnem zwierzątku, które stojąc po środku między kotami, kunami a szczurami, żyje społem w licznych gromadach, i już w najodleglejszej starożytności znane było ludziom dokładnie, doznając nawet od nich zabobonnego poszanowania. Są to t. z. Mangusty czyli Herpestes, do rzędu których należy zamieszkały w Egipcie Ichneumon, „szczur Faraonów" (Herpestes Ichneumon.) Zwierzę to ma wielkie podobieństwo do pewnego gatunku dzikich kotów azjatyckich, jest zarówno z niemi drapieżne i zarówno puszcza się zwykle nocą na zdobycze. Większe od kota domowego, spoczywa na krótkich nóżkach, a zbudowane w kształcie walca, posiada ogromną siłę muskułów, i znaczny na swą objętość ciężar. Również zdolne jest do olbrzymich skoków, że mu prawie żadne z czworonożnych zwierząt w tem nie dorówna. Grecki pisarz Herodot opowiada nader ciekawe rzeczy o tym „szczurze Faraońskim." Między innemi twierdzi, iż często wskakuje w paszczę śpiącego krokodyla, przez gardło przeciska się do wnętrza jego piersi, rozgryza mu serce i w ten sposób go zabija. Także, że wyszukuje w piasku krokodyle jaja i pożera je, jak również prowadzi nieustanną a zaciętą walkę z jadowitemi gadami, z której zawsze wychodzi zwycięsko. Wszystko to, skutkiem badań nowoczesnych, należy już do dziedziny bajek, tyle tylko okazało się prawdziwem, że niektóre odmiany tego zwierzęcia w Afryce i Azji mianowicie t. z. mungos i ichneumon, rzeczywiście za wężami polują i je zwyciężają zwinnością swoją, zręcznym podstępem i nieustraszoną odwagą. Ichneumon afrykański żyje w nizinach, osobliwie w miejscowościach zarosłych trzciną, nad rzekami i moczarami. W dzień leży ukryty w gąszczach, wśród których toruje sobie wąziutkie przejścia, prowadzące do mieszkania jego, pomieszozonego dość głęboko pod ziemią. W tych norach samica składa wczesną wiosną 2 — 4 młode, karmi je zrazu długo mlekiem własnem, poczem jeszcze dłużej starzy przynoszą im gotowe pożywienie. Ichneumon żyje gromadnie, czasami wychodzi dniem na łowy i zadowala się każdą zdobyczą, którą tylko pokonać zdoła, począwszy od żaby aż do zająca i węża. Podobnie jak nasza kuna nie gardzi drobiem domowem, skutkiem czego fellahowie, czyli wieśniacy egipscy, prześladują go i nienawidzą śmiertelnie. Że starzy Egipcjanie balsamowali go podobnie jak koty, pochodziło to stąd niechybnie, iż poznali w nim dzielnego pomocnika przeciw istnej pladze kraju t. j. szezurom, myszom i wężom, co najmniej jednak dla tego, iż by one pożerały jaja krokodyle. Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób on zazwyczaj gotuje się do walki ze strasznym okularnikiem. Skoro tylko odkryję norę, w której wąż przebywa, przysiada cichaczem u jej wchodu, i oczekuje, aż gad wylezie z niej by zagrzać się do słońca. Skoro to tylko nastąpi, rzuca się natychmiast z gwałtowną szybkością na grzbiet węża, i zanim ten zdoła użyć swych kłów jadowitych, już zaciekły ichneumon przegryzł mu ścięgnie na szyi, i gad ginie niebawem, zwyciężony sztuką przez niepokaźnego wroga. Jeszcze zręczniejszym, niśli afrykański ichneumon, jest mungos azjatycki, skutkiem czego mieszkańcy tamtejsi ułaskawiają go i trzymają koło domów. Gdzie mungos gości, tam niechybnie całe otoczenie bezpieczne od odwidzin gadów jadowitych.

— Jak dalece gnuśny sybarytyzm, przyniesiony do Romy ze Wschodu z trofeami zwycięstw, rozgnieździł się i zapanował w potężnej stolicy starego świata, daje miarę następujący opis tualety kobiety starorzymskiej. Znakomita taka pani, gdy rzuciła puchowe łoże, co się działo nie prędzej, jak między 10 a 11 godziną przed południem, spieszyła natychmiast do kąpieli, w której nacierać się kazała pumeksem, poczem oddawała się zręcznym rękom kosmetów. Byli to niewolnicy, którzy posiadali wiele tajemnic utrzymania świeżości skóry, a nosili swą nazwę od greckiego słowa kosmos: porządek, ozdoba. Czynności ich były tak wysoko cenione, że je uważano nawet za ważną gałęź sztuki leczniczej. (Dwaj lekarze, Archigenos, na dworze Kleopatry — i Kriton, na dworze Plantiny, napisali specjalne rozprawy o czynności kosmetów, i dedykowali je swoim władczyniom.) Wyszedłszy z kąpieli kładła na twarz rodzaj kataplazmu zmiękczającego skórę, który wynalazła była Poppeia. Okład ten pozostawał tak długo na twarzy, aż dostojna pani zamierzała wyjść na miasto lub chciała przyjąć wizytę obcego człowieka. Biedny małżonek nie miał prawie nigdy szczęścia widzieć tête a tête swą żonę bez takiej szkaradnej maski, mającej chronić delikatne lica od niepotrzebnego zetknięcia z powietrzem. W chwili gdy rozpoczynała się właściwa tualeta, niewolnica zdejmowała okład, i obmywała twarz gąbką nasiąkniętą mlekiem oślicy. Równocześnie druga nacierała skórę z lekka, by nadać tej możliwą świeżość. Podług opowiadania Pliniusza, używano do tego nacierania popiołu ze ślimaków lub wielkich mrówek, które rozcierano w soli; także miodu z zabitemi umyślnie pszczołami, tłuszczu z drobiu, pomięszanego z roztartą cebulą, albo w końcu, tłuszczu z łabędzi, któremu przypisywano własność spędzania zmarszczków z twarzy. Po ukończeniu tych operacyj przedwstępnych, przystępywano do czerwonych plamek, które musiały być zatarte kawałkiem wełnianej materji umoczonej w olejku różanym. Tak zwane piegi i plamki wątrobiane spędzano za pomocą proszku sporządzanego ze skórki jagnięcej a zmięszanego z miodem korsykańskim, do czego dodawano czasem proszku mirrhy, co znowu oddziaływać miało na zmniejszenie czerwoności twarzy. Po uporaniu się z plamkami przystępowała niewolnica z maleńkiemi szczypczykami, któremi wyrywała z twarzy maleńkie włoski, wyrastające w niewłaściwem miejscu. Po kolei przystępowała druga do zębów, że zaś czysta woda nie wystarczała rzymskiej elegantce, więc myła zęby zproszkowanym pumeksem lub marmurem. Ostatniego używają w tym celu chętnie po dziś dzień damy angielskie. Użytek szczoteczek do zębów był i w starym Rzymie wiadomym, również bogate panie ówczesne nzupełniały sobie brakujące ząbki sztucznie wstawianemi. Jedna ze służebnych oczyszczała zęby pani złotą lub srebrną wykłuwaczką. Celem zapobieżenia pękaniu skóry na ustach, nacierano je kawałkism wyprawionej skóry owczej, umoczonej w orzechowym olejku, roztworze z mydła, lub popiołu ze spalonych myszy. Gdy wszystko za porządkiem spełnionem zostało, przychodził trzeci gatunek niewolników, którzy przeznaczeni byli do farbowania brwi, rzęs i włosów, stosownie do wieku lub gustu pani. Na ostatek nacierano jej usta pomadą różaną, żeby nabrały świeżości. U pierwszych rodzin starego Rzymu należało do dobrego tonu, sprowadzać sobie garderobiane z Grecji, a jeżeli niemożliwem już było, dostać je ztamtąd, przyjmowano z innych krajów, nadawano im jednak greckie nazwiska. Jak widzimy ze wszystkiego, zmieniwszy to i owo, w starym Rzymie było tout comme chez nous!

— W Monaco, jedynem dziś w Europie przytulisku dla rulety i gier hazardownych, przegrał pewien Moskal ostatniemi czasy w przeciągu dwu wieczorów okrągłą sumą 800.000 franków. Gdy stracił ostatni bilet na 500 franków, — pisze korespondent jednego z dzienników zagranicznych — podniósł się i rzekł z uśmiechem: „A u licha, nie pozostało mi w kieszeni nawet na mizerną kolację!" Jeden z krupierów zasłyszał te słowa i powtórzył je dyrektorowi banku. Ten oświadczył natychmiast zgranemu Moskalowi, że mu chętnie dopomoże w krytycznem położeniu i ofiarował mu wspaniałomyślnie 500 franków. Na rewersie podpisał się odbiorca: Hrabia Czyczagow z Moskwy." Z owemi 500 frankami w kieszeni, pan hrabia udał się do restauracji kasyna, i zaprosił tam na kolację kilku znajomych od zielonego stolika towarzyszy. Po kolacji oświadczył obecnym, iż musi natychmiast wyruszyć do pobliskiego Mentone, gdyż nazajutrz rano ma tam załatwić nader ważną sprawę. Garson sprowadził wnet powóz, i po północy Czyczagow ruszył do Mentony. Stanąwszy na oznaczonem miejscu, postrzegł woźnica ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że pasażer znikł gdzieś z powozu, pozostawiwszy kapelusz, płaszcz i torebkę podróżną. Jak się później z śledztwa okazało, Czyczagow skorzystał z ciemności nocy, i gdy powóz mijał głęboką przepaść, spadającą niemal prostopadle ku morzu, wyskoczył i rzucił się w otchłań skalistą. W kilka dni rybacy znaleźli ciało jego pogruchotane do niepoznania.

— Za panowania Ludwika Pobożnego (um. 840 r.) spadł z obłoków kawał lodu, który według podania starych kronikarzy, zajął prrestrzeń 15 stóp. W r. 1691 spadł w Zurychu grad tak wielki, iż pojedyncze kawałki długie były jak sople lodowe, zwisające w zimie z dachów; w r. 1802 spadła w Węgrzech bryła lodu, ważąca 11 centn; 1go paźdz. 1843 r. spadły w Cidade da Serro w Brazylji kawałki lodu 6 — 8 funtów ciężkie kształtu pryzm sześciobocznych. W r. 1819 zbierano raz we Francji grad o 14 calach obwodu. W r. 1829 spadły w Hiszpanji kawałki 4 funtowe, w r. 1818 szalała straszna burza z gradem, który padał nadzwyczaj gęsto i wielkości jaj gęsich. W r. 1769 był w Berlinie grad, jak harbuze wielki i pozabijał mnóstwo bydła w polu. O czerwonym gradzie, ciekawem zjawisku przyrodniczem, opowiada Humboldt, iż padał raz na Puramo de Guanchas. W r. 1801, 24 maja około Rastatt spadł grad wraz z deszczem siarkowym, a w Irlandji w 1821 z żółtobrunatnemi ziarnkami metalicznemi które przy świetle siarczanemi wyziewami parowały.

— Okropne samobójstwo przeraziło d. 28 czerwca mieszkańców dzielnicy Notre-Dame w Paryżu. Mężczyzna liczący lat około 50, małego wzrostu, starannie ubrany i w kapeluszu na głowie, dnia tego przed południem przybył do strażnika wieży kościoła Notre-Dame z zapytaniem, czy dzwony godne są widzenia? — „Rozumie się!" odpowiedział strażnik. Nieznajomy kazał się zatem zaprowadzić na wieżę, którą zwidzać zaczął dość szczegółowo. Na pierwszej galerji jeszcze spokojnie rozmawiał ze strażnikiem. Po chwili przyłączył się do nich jeszcze jeden ciekawy i zażądał od strażnika, ażeby mu pokazał wielki dzwon notrdamski „Bourdon" zapraszając z sobą także poprzednio przybyłego. Ten jednak wymówił się tem, że już ów dzwon oglądał, poczem gdy dwaj towarzysze jego odeszli, sam wyszedł na najwyższą platformę wieży. Ku największemu przerażeniu dowiedział się strażnik, zeszedłszy na dół, że podczas gdy pokazywał drugiemu gościowi swemu dzwon Bourdon, pierwszy gość ze szczytu wieży rzucił się na bruk podwórza presbyterjum. Nieszczęśliwy roztrzaskał się najokropniej. Skok jego przerażający widziało kilka osób z ulicy. Samobójca, jak później się dowiedziano, już poprzednio dwa razy wychodził na szczyt wieży notrdamskiej, lecz widać dopiero za trzecim razem nabrał odwagi do wykonania okropnego zamiaru.

— Stuletnich staruszków naliczono przy ostatniej konskrypcji w Nowym Jorku 109, podczas gdy za przedostatniego liczenia ludności w roku 1865 było ich w owem mieście tylko 91. Ze starców tych 40 jest rodem z Irlandji, 6 z Kanady, 2 z Anglji, 2 z Indyj zachodnich, 1 ze Szkocji, 1 z Hiszpanji, 56 ze Stanów Zjednoczonych a 1 przyszedł na świat na okręcie; wreszcie 20 nie umie podać miejsca ani kraju swego rodzinnego. Najstarszą w tym poważnym zastępie osobą jest Sara Hicks z Brooklynu, licząca 114 wiosen, zaś Izabella Simpson z tego samego miasta liczy lat 110.

Treść Nr. 28.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).